

LUBLIN

15.IX.1963

Nr 17 (279)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

## MAJDANEK GŁOSUJE ZA POKOJEM

ROMAN ROSIAK

TO BYŁO dziewiętnaście lat temu. Działająca wówczas Polsko-Radziecka Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Zbrodni Niemieckich w Obozie unicestwienia na Majdanku w Lublinie zdołała już ustalić przybliżone rozmiary tego gigantycznego ludobójstwa. Padły pierwsze suche cyfry: ogólna liczba zamordowanych — około półtora miliona, 18 400 rozstrzelanych w ciągu jednego tylko dnia 3 listopada 1943 roku, 535 puszek z preparatem „Cyklon B” znalezionych na Majdanku (ilość ta pozwoliłaby na unicestwienie całej ludności nie tylko Lublina, ale jeszcze kilku innych dużych miast), 300 dzieci w wieku od 3 do 10 lat otrutych gazem dnia 21 października 1943 roku, krematorium z pięcioma piecami, mogące spalić około 2000 ciał na dobę, 1350 m<sup>3</sup> kompostu z ludzkiego popiołu i niedopalonych kości, znalezione na terenie obozu 820 000 par obuwia, oto tylko niektóre dane, pozwalające wyobrazić sobie, czym był lubelski obóz zagłady.

Ujawnione przez Komisję cyfry były istotnie oszołamiające, ale równie niewiarygodne wydawały się metody, przy pomocy których Niemcy doszli do tych cyfr, a więc masowe rozstrzelania, gazy, wieszanie, torturowanie, bicie i głodzenie więźniów, wstrzykiwanie im ewipanu itd. Wskutek tych faktów słowo „Majdanek” stało się jednoznaczne, zrozumiałe we

wszystkich językach podbitych i wyzwalających się spod hitlerowskiego jarzma narodów.

O Majdanku mówiło się w Lublinie na każdym kroku, w domu, w pracy, na ulicy, dzień po dniu. Trudno było komukolwiek przejść obok niego obojętnie, bez względu na to, czy wśród pomordowanych znajdował się ktoś bliski. To tutaj wreszcie, na miejscu kaźni, gromadziły się dziesiątki tysięcy ludzi, by naocznie przekonać się, do czego zdolny był Hitler. Tu również na prochy pomordowanych braci Odrodzone Wojsko Polskie przysięgało zemstę i szło do walki z Niemcami, mocniejsze o nienawiść, o świadomość ogromu krzywd i zbrodni.

Majdanek urósł nagle do symbolu martyrologii Narodu Polskiego i stał się siłą mobilizującą do walki, podsycającą żądzę zemsty na wrogu. Równocześnie kazał on zapominać o tym, co społeczeństwo dzieli, natomiast cementował jedność i solidarność tych wszystkich, którym udało się przetrwać lata panowania „Übermenschtów”. I to było pierwsze, wielkie, ogólnonarodowe znaczenie lubelskiego obozu śmierci.

Jedność i solidarność. Nie był to problem nowy w roku 1944, można go było obserwować wyraźnie i w latach okupacji, niemal od początku istnienia obozu. Aby się o tym przekonać,

(Dokończenie na str. 6)



CZY nowy papież będzie kontynuował linię Jana XXIII? Oto pierwsze pytanie, jakie obiegło świat na wiadomość o wyborze Montiniego. Pytanie to nadal jest aktualne. Po upływie kilku miesięcy od konklawe Paweł VI nie ujawnił jeszcze swych zamierzeń.

Co prawda dał on do zrozumienia już w pierwszym orędziu, że ma zamiar postępować podobnie jak jego poprzednik. Nie wiadomo jednak, czy czyni potwierdzą to oświadczenie. A może po prostu będzie on kontynuował własną dotychczasową politykę?

Krótki przegląd działalności Montiniego, zwłaszcza w ostatnich latach, pozwala dostrzec, iż jego postępowanie nie we wszystkim było zbieżne z polityką papieża Roncallego. Warto zwrócić uwagę na odmienną doświadczeń Roncallego i Montiniego, uzyskanych w ciągu kilkudziesięciu lat kościelnej działalności. Roncalli najlepsze lata swego życia spędził w Bułgarii, Grecji i Turcji, gdzie kolejno pełnił funkcję delegata apostolskiego. Przebywał tam w otoczeniu „innowierców”, gdyż, jak wiadomo, katolików w tych krajach jest niewiele. Jak sam podkreślał — tam nauczył się cenić ludzi o różnych poglądach. Po wojnie został nuncjuszem we Francji i wreszcie kilka lat przed wzniesieniem na tron papieski był patriarchą Wenecji, niewielkiej metropolii kościelnej. Przebywał zawsze z dala od kurii rzymskiej i obcy był mu ten styl bycia, czy też doktrynalna ruty-

## Paweł VI

STANISŁAW  
MARKIEWICZ

na, jaka cechuje długoletnich pracowników watykańskich urzędów.

Montini był pracownikiem watykańskiego sekretariatu stanu od roku 1924 do roku 1955, a więc ponad 30 lat. Zna on doskonale wszystkie sekrety i subtelności watykańskiej dyplomacji. Politykę Piusa XII, a był jednym z jej realizatorów, poznał bardzo dobrze — niejako „od kuchni”. W roku 1952 został faktycznym kierownikiem sekretariatu stanu.

W roku 1953 nie przyjął proponowanej mu przez Piusa XII godności kardynalskiej; nie wiadomo, co chciał w ten sposób zademonstrować.

W każdym razie prasa zachodniorniemiecka, która nie szczędziła krytyki Janowi XXIII za jego neutralistyczne zaangażowanie, już na drugi dzień po wyborze Pawła VI podkreślała fakt jego wieloletniej bliskiej współpracy z Piusem XII i wiązała z tym określone nadzieje.

W roku 1955 Montini został arcy-

biskupem Mediolanu, najważniejszej i najbogatszej diecezji włoskiej, skupiającej nie tylko największą liczbę wiernych, ale i wspieranej przez najpoważniejsze ośrodki kapitału północnych Włoch.

Pod koniec pontyfikatu Piusa XII Montini był związany ze zwalczającym integrystów skrzydłem w kolegium kardynalskim, które zdecydowało o wyborze Jana XXIII. Wkrótce po wyborze, w dniu 15 grudnia 1958 r. Jan XXIII mianował 25 nowych kardynałów. Wśród nich znalazł się Montini.

Z początkami reformatorycznych inicjatyw Jana XXIII zbiegło się przeciwdziałanie integrystów. Pierwszym aktem kontrakcji z ich strony był dekret Św. Oficjum uchwalony w dniu 25 marca 1959 r., a zakazujący katolikom wszelkiej współpracy z marksistami oraz głosowania na „sojal-komunistów” lub osoby z nimi współpracujące.

W dekreście stwierdza się dosłownie, że „nie jest dozwolone katolikom oddawanie głosów na te partie lub na tych kandydatów, którzy choć nie głoszą zasad sprzecznych z doktryną katolicką, a nawet przypisują sobie miano chrześcijan, niemniej jednak faktycznie łączą się z komunistami i popierają ich w wyniku swej działalności”. Po tym podkreśla się, że obecna decyzja została oparta na dekreście Świętego Oficjum wydanym w dniu 1 lipca 1949 r., a więc na znanym dokumencie zalecającym ekskomunikę komunistów.

Jest rzeczą charakterystyczną, że związany z Montinim mediolański dziennik „L'Italia” w artykule z dnia 21 kwietnia 1959 r., zamieszczonym z inspiracji kardynała, podważył samą istotę uchwalonego dekretu. Autor artykułu, ksiądz, a przy tym teolog, stwierdził, iż „kto jedynie przynależy do komunizmu lub go popiera, lecz nie akceptuje doktryny, nie jest ekskomunikowany”.

Twierdzono w Rzymie, że owa interpretacja, sprzeczna z treścią dekretu Św. Oficjum, była uzgodniona z Janem XXIII, który w ten sposób chciał złagodzić protesty, jakie wywołał dekret nawet wśród ortodoksyjnych kół świeckich i duchownych.

Zwrócono uwagę na fakt, że przeciwko zastosowanej przez dziennik „L'Italia” interpretacji dekretu nikt z kurii rzymskiej oficjalnie nie wystąpił; również „Osservatore Romano” do niej się nie ustosunkował.

W maju 1960 r. poruszenie opinii światowej wywołał artykuł wstępny „Osservatore Romano”, zatytułowany „Niewzruszone punkty”. Artykuł ujawnił dążenia inkwizycyjne integrystów w takim stopniu, w jakim rzadko występowały one nawet w okresie pontyfikatu Piusa XII. Stwierdza się w artykule, że problemy polityczno-społeczne w żadnym razie nie mogą być oddzielane od religii, że katolik obowiązany jest uznawać zwierzchność hierarchii kościelnej nie tylko w sprawach wiary, lecz również w sprawach politycznych; że dopuszczalność poli-

(Dokończenie na str. 2)

















Kiedy przed rokiem pisałem w „Kamieniu” (Nr 19/257) o problemach turystyki w województwie rzeszowskim, zastanawiałem się, czy stale wzrastające zainteresowanie walorami wypoczynkowo-krajoznawczymi Rzeszowszczyzny pozostaje w jakichkolwiek proporcjach do tego, co oferuje się turystyce tu na miejscu. Było to wkrótce po pierwszej w historii rzeszowskiej WRN specjalnej sesji poświęconej sytuacji i perspektywom rozwoju turystyki w Rzeszowskiem. Pisałem wtedy, że „zbyt mało jeszcze upłynęło czasu, by ocenić skuteczność, czy braki podjętych decyzji”. Obecnie po roku szukam śladów działania „turystycznej uchwały”.

Do końca czerwca dwa powiaty województwa: powiat rzeszowski i sanocki — były wyłączone z otwartego ruchu turystycznego ze względu na epidemię duru brzuszego. Ten fakt nie pozostaje na pewno bez znaczenia przy ustalaniu prognoz tego ruchu w bieżącym sezonie. Niemal każda droga prowadząca do Mekki turystycznej — Bieszczadów, prowadziła przez te dwa miasta podlegające określonym przepisom sanitarnym, przez Rzeszów i Sanok. Organizatorzy wielu wycieczek „na wszelki wypadek” odwoływali swe przyjazdy również do powiatu leskiego, ustrzyckiego, krośnieńskiego czy gorlickiego, mimo że nie były to rejony objęte ani epidemią, ani zarządzeniami sanitarnymi. Ostrożność czy dezinformacja? Dlatego też liczba około 100.000 turystów, którzy według szacunkowych danych przewinęli się przez Bieszczady do końca lipca, nie może być sprawdzianem zainteresowania tym regionem.

Ale stało się tak, jak przewidywałem. Przez Bieszczadzką Obwodnicę ciągną samochody, motocykle, autokary ze wszystkich miast w kraju, spotykam wozy ze Szczecina, Wrocławia, Gdańska i Zielonej Góry. Widziałem turystów ze Szwecji, Danii, Francji, USA. Rekord frekwencji padł chyba w dniach 21 i 22 lipca.

Przewodniczący Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki w Ustrzykach Dolnych F. Staruchowicz w dniu poprzedzającym Święto Odrodzenia naliczył w ciągu jednej godziny ponad sto „Karus” jadących w kierunku głównego pasma gór. Tysiące ludzi koczowało pod namiotami nad Wołosatym, w pobliżu Sanu, turyści szczerze wypełnili strychy i stodoły w Myczkowcach. Mimo trudności, niewygód, kłopotów z noclegami Bieszczady nie straciły na swej atrakcyjności. Tam, gdzie jeszcze rok, dwa lata temu, w ciągu całych godzin pieszej wędrowki trudno było spotkać człowieka, dziś — wciśnięte w starodrzew nad Nasiczańskim potokiem wśród olszyn nad wodą, stoją dziesiątki samochodów.

Jeszcze znajdziecie miasta w Bieszczadach, gdzie nie niepokojeni przez znajomych możecie spędzić trzydziście dni urlopu, jeszcze o sto, dwieście metrów od ludnej szosy możecie zabawić się w Kolumba... Jak długo, nie wiem. Doświadczenia bieżącego roku mówią to, co sygnalizowano już dawno. Z chwilą oddania dobrych dróg teren ten przeżywać będzie prawdziwy najazd turystów zmotoryzowanych. Tak się też stało i nie należy przypuszczać, by w przyszłym roku i dalszych latach ten rodzaj turystyki mógł mieć tendencję spadkową. Czy zresztą tylko turystyki motorowej? W roku ubiegłym województwo rzeszowskie należało do rejonów najbardziej atrakcyjnych turystycznie. Wskaźnik wzrostu turystów odwiedzających je był daleko wyższy od przeciętnej krajowej. W roku 1961 wynosił on 169, gdy w kraju liczył 116. W r. ub. dane te wynosiły dla kraju 130, dla województwa rzeszowskiego 183.

Liczbie ponad 800.000 turystów, którzy odwiedzili Rzeszowskie w roku ubiegłym, w znikomym stopniu odpowiada przyrost bazy noclegowej.

Według moich obliczeń, opartych o wypowiedzi, których udzielił korespondentowi Polskiej Agencji Prasowej Marianowi Matzenauerowi, przedstawiciele wojewódzkich rad narodowych i wojewódzkich komitetów kultury fizycznej i turystyki w czasie odbytej w Zakopanem konferencji turystycznej, proporcje między planowanym przyjazdem turystów a zabezpieczeniem dla nich bazy noclegowej przedstawiają się następująco:

Na dwa miliony turystów, jakich spodziewa się gościć u siebie województwo gdańskie, czeka ponad 82.000 łóżek, a więc na 1 milion turystów przypada tam 41.000 łóżek, na 900.000 turystów w województwie olsztyńskim czeka 30.000 łóżek; na 1.200.000 turystów w województwie wrocławskim — 50.000 łóżek; na 700.000 turystów w województwie szczecińskim — 50.000 łóżek; na 2.500.000 turystów w Krakowskim przypada około 96.000 łóżek.

Na planowany przyjazd około 800.000 turystów w województwie rzeszowskim przygotowano „aż” 4.794 łóżka!

Moji oponenti niejednokrotnie podawali jako usprawiedliwienie: spóźniony start województwa, brak w tym zakresie tradycji, trudności inwestycyjne itp. Jest w tym rozumowaniu trochę racji, bo „turystyczny start” województwa był istotnie daleko trudniejszy niż np. województw nadmorskich. Na dobrą sprawę można wiele wytłumaczyć zniszczeniami wojennymi, które objęły niemal jedną piątą powierzchni województwa rzeszowskiego. Ale nie to usprawiedliwia indolencji i braków pochodzących bynajmniej nie ze smutnego dziedzictwa.

# TURYSTYCZNY ZWIAD

ADOLF JAKUBOWICZ

W ciągu roku przybyło nam niewiele ponad 1000 łóżek, ilość zaś zewidencjonowanych a nadających się do adaptacji na potrzeby noclegowe obiektów jest znikoma. Nie dość tego, szereg obiektów, na które liczone, że włączone zostaną do ruchu turystycznego w rejonie Bieszczadów i Beskidu Niskiego, w tajemniczy sposób zniknęły nie tylko z ewidencji, ale i fundamentów.

Tak stało się z grupą kilku baraków w Berehach Górnych ostatnio użytkowanych przez budowniczych Bieszczadzkiej Obwodnicy. Jeszcze wczesną wiosną, gdy przepychaliśmy się z trudem serpentynami w stronę Wetliny, stały. Wraz ze śniegami zniknęły i baraki, podobno przeniesione na inną budowę... Przepraszam, pozostał jeden, zresztą zdewastowany i rozszabrowany. Oczywiście nikt nie wie, kto jest sprawcą zniszczenia i gdzie podziął się drzwi i okna... Oto jeszcze jeden przykład do lokalnej specyfiki Bieszczadów.

Inny przykład. Dużym nakładem kosztów zorganizowano w Dubiecku, w powiecie przemyskim, niezły ośrodek campingowy. Może nie luksusowy, może z szeregiem braków. Ale ośrodek był, korzystali z niego turyści, chwalił sobie piękne położenie, park, czysty, rybny (!) San. Ostatnio okazało się, że przedsięwzięcie deficytowe, wobec tego należy przekazać je temu, kto się zobowiąże z niego korzystać. Chętni się znaleźli — chwala im za to, że obiekt nie zniszczyli, ale wskutek tej transakcji województwo znów straci kilkadziesiąt co najmniej miejsc do otwartej turystyki, a w parku pojawiły się tablice: „osobom obcym wstęp wzbroniony”...

Nie udało się również zrealizować zamierzenia uzyskania dla tej turystyki

hotelu turystycznego energetyków nad zalewem w Myczkowcach, obiektów kolonijnych w Czarnie, w powiecie ustrzyckim, hotelu robotniczego w Rzepedzi. Cały szereg podobnych spraw, jak informuje WKKFIT będzie musiał rozstrzygnąć Urząd Rady Ministrów...

Wojewódzka Rada Narodowa podejmując uchwałę turystyczną zdawała sobie sprawę ze specyficznych trudności województwa, ograniczeń inwestycji turystycznych i potrzeby szukania rozwiązań w inicjatywach samej ludności.

W uchwale czytamy między innymi: „Należy podjąć czynności w zakresie bazy noclegowej poprzez WKKFIT oraz prezydium PRN, poprzez organizację wypożyczalni sprzętu turystycznego w ośrodkach, oraz ewidencjonowanie, zawieranie umów i wykorzystywanie wolnych pomieszczeń w miastach i domach chłopskich (podkreślenie moje — A. J.).

W tej dziedzinie należy rozwinąć konkretne współdziałanie, a szczególnie ze Spółdzielnią „Gromada”, oraz innymi organizacjami zajmującymi się organizacją turystyki i wypoczynku”.

Nie było to założenie nowe, gdyż szereg województw w poważny sposób nadrabia w ten sposób braki hotelowe.

Sąsiadujące z nami o miedzę województwo krakowskie uzyskuje w ten sposób ponad 80.000 miejsc noclegowych!

Ta forma łagodzenia trudności noclegowych znajduje oficjalne poparcie władz państwowych i turystycznych. Wytoczne szefa Urzędu Rady Ministrów i przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki z dnia 23 maja bieżącego roku mówią o tym wyraźnie: „Rozbudowa bazy noclegowej i żywieniowej w ramach własnej gestii rady narodowej powinna być dokonywana w zasadzie w ramach środków budżetowych rady, drogą modernizacji, adaptacji i budownictwa lekkiego (campingów), kiosków, ruchomych punktów żywienia jak barobusy itd., jak również poprzez organizację kwater prywatnych.”

Podobne zalecenia idą z Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki.

A że jest to interes opłacalny podwójnie i dla państwa i dla ludności, przekonuje przykład powiatu nowosądeckiego, znanego dziś w kraju z szeregu interesujących inicjatyw, w tym również inicjatyw turystycznych.

W roku 1961, jak wynika z obliczeń Wojewódzkiego Oddziału Narodowego Banku w Krakowie, dochody z turystyki, które bank mógł ująć, wyniosły dla ludności Nowosądeczycy ponad 237 milionów złotych!

Jak jest w Rzeszowskiem? Bardzo tolerancyjna i optymistyczna ocena wykazuje, że ilość kwater prywatnych, które oddano na potrzeby turystyki w roku bieżącym nie przekracza kilkuset łóżek.

Jest to kompromitująca mało i nie najlepsze wystawia świadectwo dla zdolności organizacyjnych instytucji, biur zajmujących się turystyką i wypoczynkiem.

Nie bez grzechu są tu i rady narodowe. W czasie szeregu wyjazdów spotkałem się z zaskakującą polityką

prowadzoną przez niektóre wydziały finansowe. W roku ubiegłym w czasie wyjazdu kontrolnego członkowie Komisji Oświaty i Kultury WRN odwiedzili w Cielnie, w powiecie leskim, rolnika, który nowy, kilkunastobudowy budynek przeznaczył na Stację Turystyczną PTTK. Pisałem o nim entuzjastycznie. Pomyślecie tylko: jeden człowiek przysporzył Bieszczadom czterdziestu miejsc noclegowych, miejsc liczących się w tym rejonie na wagę złota.

Odwiedziłem go po kilku miesiącach ponownie. Byłem świadkiem rozmowy, jaką prowadził z przewodniczącym Zarządu Okręgu PTTK w Rzeszowie mgr Brydakiem.

Właściciel ma już dość turystyki i nieprędko da się namówić, by wynajął komukolwiek choć jedną izbę.

Przyczyna? Zarządzenia finansowe i podatki, którym ma obecnie podlegać, czynią ten interes nieopłacalnym.

Nie jest to zresztą przykład odosobniony. W Ustrzykach Dolnych, jednym z nielicznych miast w województwie rzeszowskim, które poważnie zwiększyło bazę noclegową dzięki umowom zawartym z właścicielami kwater, dzieje się podobnie.

Wierzę, rozumiem, że trudno jest dopasowywać przepływy do życia jednego obywatela, czy niewielkiej grupy obywateli, ale jestem pewien tego, że dzieje się tu coś nienormalnego, przeczące ogólnym tendencjom rozwoju turystyki i logicznemu pogładowi na te sprawy i że przypomina to pracowite odcinanie gałęzi na której siedzi...

Kto chciałby zastosować dziś stare sprzed kilku lat turystyczne określenie dla Bieszczadów: „krajna głodu” — skłamię. Kto powie, że zrobiono już wszystko, by w Bieszczadach rzeczywistość nie była głodnym — skłamię podwójnie.

Bo sytuacja w zaopatrzeniu Bieszczadów nie jest bynajmniej jednakowa. Jest o niebo lepiej niż było tu jeszcze cztery, pięć lat temu, jest źle, jeśli porównamy tutejsze warunki z sytuacją na Wybrzeżu, w Krakowskim, czy na Mazurach. Czasami dobrze jest w Sanoku, znośnie w Lesku, źle w Ustrzykach i odwrotnie.

Nieprawdą jest, że ostatnim miejscem, w którym można dostać chleb w drodze na Caryńską, jest Lesko (widziałem nieszczęśliwych taszcących na plecach przywiezione aż spod Wałbrzycha konserwy i suchary). Prawdą natomiast jest, że chronicznie brak tu warzyw, owoców, że są chwilowe braki w napojach chłodzących.

To prawda, że trudno zjeść obiad w wytwornej „Casablance” z widokiem na pierwsze jezioro na Sanie, gdy w niedzielne popołudnie zjedzie tu kilkanaście wycieczkowych autokarów. Ale w restauracji od ubiegłego roku nie przybyło ani jednego miejsca i możliwości jej „produkcji” nie przekraczają 500, w najlepszych warunkach 600

(Dokończenie na str. 10)

Fot. Z. Postępski

Bieszczady — Droga pod Przysługiem



obiadów dziennie. Warzywa i owoce dowozi się tu spod Sandomierza. Kurs samochodu tam i z powrotem musi trwać dwa dni. Mieście to na uwadze, jeśli przyjdzie wam dłużej czekać na posiłek, jeśli dostaniecie nie najlepszej jakości ogórki czy pomidory...

Przejdźcie drogą w kierunku Soliny. Ze wzgórca za zakrętem zobaczycie na horyzoncie osiedle: duże domy, hotele, restauracje. Teraz mieszczą tam budowniczym zapory wodnej, za kilka lat pensjonaty, hotele, parkingi przejmie Fundusz Wczasów Pracowniczych.

W największej, jaką sobie można wymarzyć, okolicy powstanie ogromne jezioro. Jezioro, jakie trudno będzie znaleźć na tej wysokości nad poziomem morza w kraju, jezioro mogące swym położeniem konkurować z największymi zalewami w Europie.

Dla tej chwili, ludzie, którzy rozumieją Bieszczady, nawet narzekając na bieżące trudności, klnąc na braki, potrafią je w wielu wypadkach wybaczyć.

Problem gastronomii bieszczadzkiej ma w dziennikarskich relacjach miejsce niezbyt zaszczytne. Na całej stu pięćdziesięciokilometrowej Pętli stan posiadania gastronomii nie jest imponujący. Gospody w Hoczwi, Baligródzie, Dolżycy, Wetlinie, Dwerniku. Trzy ostatnie to restauracje prywatne. Powstały one jako uzupełnienie wątlukiej w tym rejonie sieci spółdzielczej. Przy stałych kłopotach, jakie mają prowadzący te lokale właściciele z utrzymaniem przydziałów mięsa, wędlin, jarzyn itp., restauracje te, według porzekadła „na bezrybiu i rak rybą”, dobrze spełniają swoją funkcję. Za tę samą sumę co w powiatowych Ustrzykach, czy Lesku, jadłem tu nieraz zupełnie smaczny obiad. Wiem, że niejedna wycieczka dzięki istnieniu wetlińskiego „Berda” nie wyjechała stąd głodna.

W budowie jest kilka GS-owskich gospód. W Ciśnie, Lutowskach, Komańczym. Już w przyszłym roku będzie pod tym względem na pewno lepiej. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego do czasu nim tak rzeczywiście będzie stosuje się wobec tych ludzi zadziwiająca politykę fiskalną, tak że zamierzają oni zrezygnować z dalszego prowadzenia restauracji.

Z takim pismem zwrócił się jeden z właścicieli do władz handlowych w przeddzień rozpoczęcia sezonu. Jego restauracja jest w sąsiedztwie pobliskiego campingu i była jedyną, gdzie mieszkający w nim ludzie mogli zjeść obiad.

Dlaczego aż osobistej interwencji kierownika Wydziału Handlu Prezydium WRN, H. Tiszlera było potrzeba, by wytłumaczyć absurdalność tak pojętej polityki podatkowej?

Niedawno „Ekspress Wieczorny” doniósł, że w Warszawie zamierza się na zasadach umów przydatnych, przekazywać osobom prywatnym część nierentownych lokali gastronomicznych. Trudno doprawdy pojąć motyw, dla których stwarza się trudności w inwestowaniu przez ludzi własnych środków — tu w Bieszczadach. Bo obawy przed konkurencją dla pionu państwowego są na pewno przedczesne, a problem kontroli nad prywatnym handlem czy gastronomią rozwiązać przecież można w inny sposób.

Niedawno w pełni sezonu letniego inspektorzy Wydziału Handlu Prezydium WRN dokonali szczegółowej kontroli stanu zaopatrzenia rejonów turystycznych, głównie w powiatach sanockim, leskim i ustrzyckim. Rezultaty kontroli omawiano wspólnie z handlowcami i aktywnym społecznym badanych powiatów. Przedstawiono szereg wniosków, rozstrzygano na miejscu sporne problemy między hurtem a detalem, między handlem a poszczególnymi przedsiębiorstwami z nim współpracującymi.

Nie sposób streszczać długiej listy zaobserwowanych uchybień. Wiele z nich, zwłaszcza natury sanitarnej i porządkowej nie wymaga specjalnych inwestycji, ale powinno być usuniętych w ramach najbardziej oczywistych obowiązków pracowników. Nie zawsze masło, wędlina, sery muszą jęczeć w słońcu na półce, gdy czynna lada chłodnicza stoi pusta.

W Rzeszowskiem anegdotyczna już stała się historia słynnego barobusu, który według obietnic miał krążyć po bieszczadzkich drogach oferując gorące posiłki. W roku ubiegłym barobus wprawdzie odkryto, ale nie w Bieszczadach, tylko na jednej z peryferyjnych ulic Rzeszowa. W czasie wieloletnich wyjazdów w Bieszczady nie spotkałem jako barobusu — widma, turyści, z którymi rozmawiałem na ten temat, również nie. Podobno nie ma odpowiednich hamulców na bieszczadzkie drogi...

Nie powiodło się, mówiąc najogólniej, z tak zwanym handlem obwo-

zowym. Zorganizowanie takiego handlu, który zdobył sobie już dużą popularność w innych rejonach turystycznych w kraju, przerasta możliwości handlowców. Również i w tym punkcie Uchwała Wojewódzkiej Rady Narodowej, która zaleca zorganizowanie w Bieszczadach tej formy sprzedaży nie została zrealizowana.

Poważne zaniedbania, dające się zaobserwować w przygotowaniach województwa do sezonu turystycznego, muszą mieć jakieś przyczyny. Nie wszystko da się usprawiedliwić obiektywnymi trudnościami.

Przeglądałem bardzo starannie materiały, które nadesłały poszczególne wydziały wojewódzkie i powiatowych rad narodowych. Nie moją sprawą jest ocenić stopień ich zaangażowania w realizację programu rozwoju turystycznego województwa. Ocena taka zostanie dokonana, jak słyszałem, w pierwszym kwartale przyszłego roku, na jednej z sesji lub na posiedzeniu Prezydium WRN.

Mój osobisty pogląd na te sprawy mówi mi, że źródło braków leży przede wszystkim w zbyt słabym zainteresowaniu turystyką wielu pionów wojewódzkiej i powiatowej gospodarki i kultury. Stąd bierze się brak bardziej odczuwalnych inicjatyw turystycznych podejmowanych przez województwo czy powiaty. Nieliczne odstępstwa od tej reguły „nie czynią wiosny”.

Wydaje mi się, że nad rozwojem turystyki w Rzeszowskim ciąży zasada opacznie pojętego profesjonalizmu: „Skoro sprawy turystyki, to niech się „turystyka” — Wojewódzki czy powiatowy Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki martwią, to przecież ich sprawa”.

Niestety zbyt wiele jest takich, tą metodą odbitych piteczek ping-pongowych, wskutek czego nie zawsze zbiera cież ten, co na nie zasłużył.

A więc powszechna niemożność, braki i niedociągnięcia? Słyszę już, jak zgodny chór wrzeszczy: przecież to antyreklama! A przedsiębiorstwa turystyczne znajdują dobre wytłumaczenie niewykonania planu z ilości „osobonoclegów”... Przecież nie tak dawno jeszcze całą winę za słaby ruch turystyczny, za niewykonanie planów gastronomii zwalano na służbę zdrowia i pion sanitarno-epidemiologiczny, które po raz pierwszy od szeregu lat zamknęły kilka zakładów żywienia zbiorowego za popoliły brud i niechlujstwo.

Okazuje się jednak, że można nawet wtedy, gdy nie ma się do dyspozycji milionów podarowanych z państwowej kasy, zrobić dla turystyki bardzo dużo, że w konkurencji kto zrobi to lepiej — szansę mają miasta duże, średnie i całkiem małe. Dokładnie 30 lipca, po dwu miesiącach pracy specjalna komisja powołana przez Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki w Rzeszowie rozstrzygnęła ostatecznie konkurs na miejscowość najlepiej przygotowaną do letniego sezonu turystycznego. Do konkursu zgłosiło się w województwie ponad 30 miejscowości, w ostatecznej klasyfikacji do nagród i wyróżnień zakwalifikowało się pięć.

Oto kolejność uzyskanych miejsc. Pierwsze miejsce po raz już drugi uzyskał Przemyśl, zdobywając łącznie 215 punktów. O pozostałe miejsca ubiegały się trzy powiatowe miasta i jedno małe miasteczko liczące około 1000 mieszkańców. Była to w zasadzie konkurencja wyrównana. Ostatecznie drugie miejsce uzyskała najmniejsza z nich Dukla, trzecie Łańcut, czwarte Gorlice, piąte Ustrzyki. Fakt zajęcia dalszego miejsca w tej czwórce bynajmniej nie ujmuje nikomu zasług. Jest to solidnie wypracowane wyróżnienie.

Okazuje się, że pięć miast w województwie rzeszowskim potrafiło w miarę swych możliwości dokonać wielu przedsięwzięć, dzięki którym przeciętny standard obsługi ruchu turystycznego znacznie się w nich podniósł i dorównuje poziomem ośrodkom w rejonach o dużych tradycjach turystycznych w kraju.

To prawda, że trudno nie być tu-

rystycznym ośrodkiem mając tak piękne położenie jak Przemyśl, najniepiękniejsze chyba miasto Rzeszowszczyzny. Ale też zrobiono w Przemyślu dużo, by turysta czuł się tu dobrze. Miasto czyste, starannie odnawiane, z wielkomięską reklamą i z nadającymi się do użytku... ustępami.

W małych klitkach, wzdłuż głównych ulic można dostać świetne lody i ciastka. Duży wybór potraw w restauracjach, szybka, grzeczna obsługa. Powiązanie sportu i turystyki, staranna informacja i wiele innych na pozór niedostrzegalnych drobiazgów, dzięki którym wywozimy z tego miasta przyjemne wrażenia i chętnie polecimy je naszym znajomym.

Przemysł będzie reprezentował województwo rzeszowskie w podobnym konkursie, ale już w skali ogólnopolskiej. Szczerze mu życzę dobrego miejsca.

Niespodzianką dla mniej zorientowanych była druga nagroda Dukli.

Jeszcze w 56 roku, gdy przyjeżdżałem tutaj, mały rynek otaczały wokół ruiny. Dukla, leżąca w pobliżu głównej Doliny Śmierci, została niemal doszczętnie zniszczona. Wydawało się, że nie podniesie się z tych zniszczeń i za lat dwadzieścia.

Tymczasem dziś miasteczko niemal zupełnie odnowione, w ciągu zaledwie kilku lat zbudowano pięćdziesiąt nowych domów, doprowadzono wodę, kanalizację, porządkuje się piękny duży park. Małe miasteczko dysponuje dziś w hotelu, domkach campingowych, schronisku szkolnym, wynajętych kwaterach prywatnych prawie dwustu noclegami. Dwie restauracje i dwie kawiarnie na około 250 miejsc. A jak karmią i przyjmują!

Oto list, jaki nadszedł od kierownika Studium Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, prof. dr Z. Młynarskiego do przewodniczącego Prezydium MRN w Dukli, Jana Zalewskiego: „Kierownictwo Studium Dziennikarskiego UW składa Wam gorące podziękowanie za udział w obradach Międzynarodowego Sympozjum Prasoznawczego (Prešov — Dukla 1—10 VI 1963 r.) i pomoc w jego organizacji. Jesteśmy Wam również wdzięczni za serdeczną gościnę”.

Nie jest więc sprawą przypadku, że szereg instytucji centralnych właśnie Duklę obiera na miejsce kursów i wczasokursów, że tak sympatycznie mówią o nim Czesi przyjeżdżający przez punkt graniczny w Barwinku.

Łańcut — miasto zamkiem słynące. Miasto ze stałymi kłopotami żywienia ogromnej rzeszy turystów (będzie lepiej, w budowie duży zakład gastronomiczny) i miasto, które świetnie rozwiązuje problemy noclegowe tych turystów. Jeden z najbardziej ruchliwych oddziałów PTTK. Dom Turysty, współpraca z pobliskimi szkołami przy organizacji noclegów dla wycieczek szkolnych, spora ilość kwater prywatnych.

Kiedy przed miesiącem jadłem obiad w gorlickiej restauracji i kelner wyliczał mi, jakie mięso jest dziś szczególnie smaczne, myślałem, że zaszła tu jakaś pomyłka, mistyfikacja, która doczekała się już filmowej wersji w jednym z polskich filmów. Gdy po dwu tygodniach później kelnerka zaproponowała mi znakomicie przyrządzone grzybki, poczułem, że dzieje się coś niezwykłego.

— Gdzie my jesteśmy? — pytałem sąsiada przy stole.

Gorlice z myślą o turyście ufundowały sobie mały wewnętrzny konkurs na najbardziej uprzejmego kelnera, na najlepszą obsługę w lokalach gastronomicznych. Bardzo surowa komisja konkursowa, która pracowała incognito, przyznała Gorlicom bardzo wysoką punktację za widoczne i odczuwalne rezultaty tego konkursu.

Ustrzyki Dolne, jedno z powiatowych miasteczek rejonu bieszczadzkiego, znalazły się na liście nagrodzonych już po raz drugi. W zimie w podobnym konkursie uzyskały one III miejsce w skali krajowej za przygotowanie do sezonu zimowego. Było to zasłużone wyróżnienie. Ustrzyki ja-

ko pierwsze miasto w województwie zbudowały własny wyciąg narciarski, zbudowały go w czynię społeczną. Po kilku miesiącach znów w czynię społeczną miasto ufundowało dla własnych mieszkańców i turystów drugą piękną inwestycję: basen pły-

Małe, liczące niewiele ponad 3000 mieszkańców Ustrzyki wykazują dziś, że wiele własnych turystycznych problemów można z powodzeniem rozwiązać nie oglądając się na centralne środki.

Pięć różnych przykładów, odmiennych wzorów, powstałych i rozwijających się w warunkach specyficznych dla danego miasta.

Przykładów rozsądnego podejścia do zagadnienia, które coraz poważniej zaczyna wkraczać w ekonomikę i kulturę Polski wojewódzkiej i powiatowej.

Przykładów, że nawet tam, gdzie nie ma turystycznych tradycji, można te tradycje stwarzać.

Jak to należy robić szybko i skutecznie — pokazali harcerze rzeszowskiej chorągwi ZHP organizując już bodajże po raz drugi czy trzeci sezonowe hotele pod namiotami.

W tym roku było tych harcerskich stanic pięć czy sześć: m. in. w Wetlinie, Berehach Górnych, Bóbrce, Dwerniku. W niejednej obok porządkowej roboty, bez zatwierdzeń, uzgodnień, lokalizacji, dokumentacji itp.

Dwuletnia praktyka sezonowych hoteli mogłaby wielu interesujących rzeczy nauczyć dorosłych speców od kwartału i wyżywienia.

Podsuwa ona rozsądną koncepcję przystosowania się do sezonowej, trwającej trzy, cztery miesiące, turystyki w Bieszczadach.

Turystyki trzeba się również uczyć. Do takiego wniosku doszły na wiele lat przed nami wszystkie kraje, gdzie stanowi ona poważne źródło dochodu — tworząc specjalne szkoły, wydziały uniwersyteckie.

Również i u nas we Wrocławiu czynne jest 2-letnie zaoczne studium ekonomii i organizacji ruchu turystycznego, studium przyjmujące kandydatów ze średnim wykształceniem.

Tylko że dotychczas w województwie rzeszowskim, w którego perspektywę turystyczne nigdy nie wątpię, znalazły się zaledwie dwie osoby, które podjęły te studia.

Adolf Jakubowicz

# RAPORT Z TONI

(Dokończenie ze str. 8)

— Jest! Jest! — woła Zawistowski. — Koło pierwszej wyspy.

Patrzę w kierunku Juch, skąd wypłynęliśmy przed dwiema godzinami. Teraz łódź pruje wodę silą maszyn. Jesteśmy coraz bliżej. Teraz zauważam i ja, o co chodzi rybakom.

To na powierzchni wody wyrzuszają się fala utworzona setkami grzbietów i pyszczków rybich. Ławica leszczy.

Cichutko, pracując jednym tylko wiosłem, zbliżamy się do chmury ryb. Zataczają półkole. Cmokają, tańczą. Już Zawistowski miękko zarzuca wonton w wodę. Otaczamy nim ławicę, cicho sunąc po wodzie. Jeszcze pięćdziesiąt, dwadzieścia, dziesięć metrów i kolo się zamyka. Teraz rybak-dżamy w środek koła. I nagle rybak-dżamy zaczynają tuc wodę wiosłami. Fontanny wody zalewają nas. Ale to nieważne. Widać po karkach zanurzających się w wodę, że tu, to tam uderzyły ryby w sieć. Jeszcze się tłuczemy, jeszcze raz dookoła sieci biją o my, jeszcze raz dookoła sieci biją o my. Wreszcie łodzi i wiosłami w wodę. Wreszcie chwila ciszy i już podnosimy sieć. Błyszczą ryba. W miejscu, gdzie obok dziur zachowały się całe oka sieci błyszczą łuski ryb. Leszcze. Cała masa leszczy.

Tadeusz Sokół

# Pałac i rudera

WALDEMAR BABINICZ

**T**YTUL oczywiście zapożyczony od Prusa. Jakże bo inaczej? Jeśli się mieszkało miesiąc w Pałacu (Małachowskiego), w którym, jak wiadomo, Prus pisał swoją „Placówkę”, jeśli w ciągu kilku tygodni prowadziło się rozmowy z najstarszymi mieszkańcami Nałęczowa o Prusie, Zeromskim i wielu, wielu innych, jeśli przy tym konfrontacje nasuwały się same bez żadnych dopingów z zewnątrz i jeśli wreszcie obok pięknego Pałacu (sam remont kosztował, jak fama głosi, 8 milionów zł, a tynki syją się, jakby rzecz dokonana była prostakim, gospodarczym sposobem) widziało się niejedną rudę, lepiej czy gorzej zamaskowaną — to i tytuł i tekst gotowy.

Nie wiem, czy Nałęczów to temat — tabu, jak chcą niektórzy bywalcy tego uzdrowiska. Czyżby dlatego że tradycje i świętości, których szargać nie wolno? Czy ze względu na aktualia i na licznych mecenasów nie tyle sztuką, co brydżem się pokrzepiających na — owszem — głośnych już weekendach nałęczowskich? A mnie cóż? — jak powiadał któryś z bohaterów Czechowa — krewnych ani znaków szczególnych nie posiadają, kontentują się w razie potrzeby zwykłą aqua i to nie zawsze destylata i po parku nałęczowskim chadzał będę, jako że to rzecz społeczna i żaden grymas wysoko postawionych osobistości nałęczowskich do przechadzek tych i sympatii do Nałęczowa mnie nie zniechęca.

Co powiedziawszy, przystępuję ad rem.

Nałęczów znany jest od przeszło stu lat ze swego mikroklimatu, w którym znakomicie czują się ludzie po zawałach i innych ciężkich chorobach sercowych oraz dotknięci wysokim ciśnieniem. Ale sam klimat nie wyleczył jeszcze żadnego pacjenta. We wszystkich znanych mi uzdrowiskach są pijalnie wód, znakomicie na ogół funkcjonujące. Krynica, Polanica i dziesiątki innych eksportują swoje świetne wody do wszystkich miast i bodaj czy nie zarabiają nieźle na tym procederze. W Nałęczowie też są źródła, a jakże, ale wód się tu nie pija, a jeśli już ktoś chce, to w kawiarni za 1,50 zł butelka. Równocześnie zaś kursuje nie sprawdzona fama, iż wody nałęczowskie są w zasadzie szkodliwe, nie nadają się do picia. Więc? Czy w kawiarni poddawane są jakimś specjalnym zabiegom oczyszczającym? I za to się właśnie płaci owe 1,50 zł? Należy się kuracjom wyjaśnienie miarodajne. Najchętniej przeczytalibyśmy jakiś komunikat właściwych władz, powiedzmy san-epid. czy analogicznych. Sprawa ta niepokoi wielu, nazbyt wielu ludzi.

Sądzę, że atmosfera w Nałęczowie byłaby znacznie lepsza, gdyby tak mniej owych niejasności, gdyby np. na każdym turnusie, jak to bywa we wszystkich uzdrowiskach, powoływano rady turnusowe, gdyby dyrekcja uzdrowiska, personel lekarski, częściej konferował z kuracjami. Ale o tych sprawach niżej. Chodzi o rzeczy ważniejsze.

Przez park nałęczowski płynie rzeczka. Są i łabędzie, a jakże. Ale woda jest brudna, nieprawdopodobnie zanieczyszczona, przypomina się historia w Cisach i walka Judyta aż do ostateczności o wyszlamowanie. Judydym w Nałęczowie gołym okiem nie widać, a kardiologzy (ilu też ich jest, tych prawdziwych, ze specjalnością, w całym uzdrowisku — nie licząc) bynajmniej nie zabiegają o oczyszczenie Bochońnicy. Radzibyśmy wiedzieć, czy w ogóle w sprawie tej, arcyważnej, głos zabierali i z jakim skutkiem.

Park. Cóż? Drzewa nie za naszych czasów sadzone rzeczywiście jakoś się trzymają, nawet ktoś je leczy, ale nie poza tym. Niechlujnie utrzymane aleje, pożał się Boże, kwiatniki bez ładu i składu, nie pielone od lat ścieżki, zaciekające budynki i szczyt wszystkiego — tuż przed jadalnią od paru lat rozwalone przyrządy do budowy czy remontu z pękniętymi beczkami, dawno wyschniętym wapnem, zaśmiecone, brudne, zarosnięte chwastami. Ruderą bez opieki, bez godziny podarskiego oka, które, jak wiadomo, konia tuczy. Konie wprawdzie zobaczyć można na obrazkach w chatce

Zeromskiego, a co do gospodarzy — darujcie — nie umiem ich wylczyć. Kląnam się różnym i nawet dość czołobitnie, ale jakoś nie wyszło i do dziś nie wiem, kto tu najważniejszy.

Kuracjusze zjeżdżający do Nałęczowa i do wszystkich innych uzdrowisk, przemęczeni ciężką, nerwową, wyczerpującą, całoroczną pracą, chcą, aby im okazywano nieco życzliwości, aby troszczono się o ich zdrowie, aby ułatwiono im spędzenie urlopu wypoczynkowego we właściwej atmosferze. Personel nałęczowski (i innych uzdrowisk) korzysta również z urlopów we właściwym czasie, ale praca personelu pozornie łatwa w rzeczywistości wymaga cierpliwości na pewno więcej niż w innym zawodzie, znajomości psychiki człowieka, zwłaszcza szukającego odpoczynku, niemałej kultury osobistej i przede wszystkim taktu. Drobne dowody pamięci, niech by nawet pozorną troską o kuracjusza, unikanie zdrażnień w sprawach nieistotnych — to walory, które bez trudności można sobie przyswoić. Są uzdrowiska, które zdobywają sobie sympatię kuracjuszy i ich wdzięczność uciekając się do metod wychowawczych, może i naiwnych, ale odpowiadających predyspozycjom ludzi zmęczonych, schorowanych. Właśnie w Nałęczowie spotkałem kuracjusza, który wozi ze sobą gęsto zapisany zeszyt z „hasłami dnia”, wierszami, fragmentami prozy, którymi codziennie karmiono kuracjuszy w Żegiestowie. Melodijny, jak twierdzi mój znajomy, kojący głos spikerki miejscowego radiowęzła wygłaszał kilka razy dziennie różne, mniej lub więcej udane sentencje na dzień bieżący, a działały one pono na kuracjuszy znacznie skuteczniej niż zabiegi i rozmowy z lekarzami. Swego rodzaju relaks. Naciągany? Może i tak, ale wszystkie metody są dobre, które regenerują chorego.

Niestety, w Nałęczowie o taki relaks trudno. Owszem, panuje tu i upragniony spokój, instruktorka k.o. jest nad wyraz dyskretna, nie widać jej, nie słychać, ludzie depczą sobie po piętach, a hałasliwa muzyka w kawiarni — zdaniem kierownictwa wysoce budująca rozrywka kulturalna — bynajmniej nie zaspokaja potrzeb kuracjuszy. Przeciwnie. Za muzykę tę trzeba płacić (kawa, i inne napoje nie dla wszystkich są dostępne). Turysty i czasowicze są rozkosz słuchania tych wprawek muzycznych, placą 10 zł. Bez gazet, bez czasopi-

Wytknięte braki nie odzwierciedlają nawet w części całokształtu stonków nałęczowskich. Nie chodzi bowiem o wylczenie wszystkich niedomogów uzdrowiska, ani tym bardziej o ukazywanie ich w krzywym zwierciadle lub w intencji ośmieszenia lub zniechęcenia personelu. Nałęczów nie jest jednym z kurortów. Jest nam wszystkim znacznie bliższy i droższy niż pozostałe uzdrowiska. Zbyt wiele jest tu cennych pamiątek, pięknych zakątków, tradycji, abyśmy z lekkim sercem pozwolili mu odgrywać dziesięciordną rolę w polskiej sieci balneologicznej. Chcemy Nałęczowowi! dopomóc i bynajmniej nie zamierzamy poprzestać na niniejszym artykule. Nie tak dawno na łamach „Kultury” zamieściłem felieton, w którym pod niebiosa wynosiłem muzeum i bibliotekę nałęczowską.

Dlatego też zamiast wylczyć dalsze minusy pragne przejść do konkretnych propozycji.

Pijalnia. Jak długo stać będzie ten niedokończony budynek w stanie pożałowania godnym, jak długo denrować będzie bywałców i przyjaciół Nałęczowa? Domagamy się w tej sprawie autorytatywnego wyjaśnienia Centralnego Zarządu Uzdrowisk. Jeżeli odpowiadają prawdziwie pogłoska, że wody nałęczowskie nie nadają się do picia, dlaczego w takim razie budowę pijalni rozpoczęto? Poniesione dotychczas duże koszty należy w jakiś sposób wykorzystać. Więc może zamiast pijalni — muszla? Lublin niedaleko, a w Lublinie na brak muzyków narzekać chyba nie można. Ile kosztuje sprowadzenie orkiestry na dwa miesiące letnie? Czy drożej niż w innych uzdrowiskach? Można ją zresztą codziennie przywozić z Lublina, własnym autobusem, prawda?

Pałac. Co jest z tym PAŁACEM, u Boga-Ojca? Czy ma służyć dla ce-

low reprezentacyjnych? Jeśli tak, to nie należy tu urządzać przychodni, wprowadzać kuracjuszy, zapelniać ludźmi. Pałac jest piękny, ma śliczną „balową” salę do oglądania. Za mojego pobytu urządzono tu raz koncert. Jedyny. Poza tym stol pustką, zamknięta na gluchą. Domyślam się, że pałac został odbudowany w okresie fasadowości. Bolesne, ale „nie skargi nie pomoga”. Trzeba wyjść z impasu, zrezygnować ze szkodliwych pallatywów. Przebudować na sanatorium? Przepuszczam, że się nie opłaca. I szkoda. Niech więc pozostanie pałacem, w którym odbywać się będą liczne, ciekawe imprezy artystyczne, spotkania z naukowcami, działaczami, dyskusje w pokojach-klubach. Toż to w Nałęczowie rok rocznie przebywa wielu znakomych uczonych, że wymienię chociażby cenionego, zasłużonego dla rozwoju tego świeżo kreowanego miasta (?) prof. Araszkiewicza z Lublina, wielu profesorów z UMCS, z Uniwersytetu Warszawskiego i innych ośrodków naukowych. Niechby każdy z nich zechciał tylko raz w czasie kuracji wygłosić jakąś prelekcję czy zainaugurować ciekawą dyskusję — mielibyśmy tu istny Pałac Nauki i Sztuki.

Do Pałacu należałoby, zdaniem moim, przenieść bibliotekę, wyposażywszy ją uprzednio odpowiednio, wzbogacić istniejące muzeum Prusa o jedną czy dwie sale, porozumieć się z miejscowymi zbieraczami, przede wszystkim zaś z panią Bartosiewicz, w sprawie urządzenia ekspozycji posiadanych przez nią zbiorów w Pałacu, urządzić ponadto ekspozycje plastyków czterech województw i przeznaczyć kilka sal reprezentacyjnych dla działalności kulturalno-oświatowej, na dobrze zaopatrzoną czytelnię, Klub Międzynarodowej Książki i Prasy. Niechże kuracjusze przestaną się czuć w tym pałacu ubogimi krewnymi.

Rudera. To jest oczywiście alegoria. Chodzi o doprowadzenie parku i istniejących budynków do stanu wzorowego. Miejscowy ogrodnik nie należy zapewne do najbardziej pomysłowych w kraju, a jego gusta i zainteresowania estetyczne są bardzo ograniczone. W porównaniu z barwnymi dywanami kwiatów, z przepychem kolorów w innych uzdrowiskach Nałęczów jest bezsprzecznie ledwie żąbkującym, zaniedbanym ogródeczkiem, co najwyżej pysznym się jedną, dwiema alejami. Ktoś tu powinien zaprojektować wielkie kwietniki na miarę tego pięknego parku, w którym nie tylko tulipanowiec należy do rzadkości. Ktoś powinien zadbać i o trawniki, o rosaria, a jeszcze więcej o pielene, zamiatanie i grabowanie alei. Jeśli już mają tu być łabędzie, niechże dba o nie właściwy człowiek. Przykładem zaniedbania była leżąca od kilkunastu dni ławka, którą złamali blondyni nałęczowscy. Leży nietknięta, a jeśli nie dołączym do tego felietonu jej fotografii, to wyłącznie dlatego, aby wykazać, że nie złośliwość podyktowała mi treść tego artykułu.

Miasto. Nie wiem, jak zamierzają rozbudować Nałęczów lokalne władze miejskie. W jakim kierunku pójdzie rozbudowa, jak bliższe są realizacji marzenia ludności w dziedzinie kanalizacji. Wiem, że wydział handlu nie pracuje sprawnie, że turyści nie przestają użalać się na zle zaopatrzenie, że „nawala” komunikacja miejska, że autobusy PKS kursują wedle zegarów słonecznych, nie widać tu ani jednej polewaczki itp. Wiem też, że mieszkańcy niektórych domów podejmują dziwne uchwały w sprawie walki z psami i kotami, zobowiązując lokatorów do niehodowania tych zwierząt. Jest to niechodowa, o którym warto pomówić w oddzielnym artykule.

Wolno sądzić, iż Nałęczów może i powinien zająć czołowe miejsce w sieci naszych uzdrowisk, że każda zdrowa inicjatywa spotka się z uznaniem nie tylko kuracjuszy, ale i wszystkich miłośników twórczości Prusa, Zeromskiego i innych, pięknych tradycji nałęczowskich. Jest nas, tych miłośników, niemało w kraju. Przyjeżdżaliśmy tu w latach „durnych i chmurnych”, podziwialiśmy pracę Chmielewskiego, chcemy podziwiać uzdrowisko, liceum plastyczne, które ma wszelkie dane, aby narzucić Nałęczowowi upodobania estetyczne, technikum ekonomiczne, które może znaleźć tu ciekawe materiały do nauki praktycznej, chcemy, aby troszczono się tu o grób Oktawii i o te wszystkie „pamiątki”, które są bliższe każdemu Polakowi.

Nie chcemy ruder w Nałęczowie. Jeśli jesteśmy za Pałacem, to udo-

# PRZYGODA W DUBROWNIKU

(Dokończenie ze str. 5)

znajdzie coś godnego do utrwalenia na fotograficznej kliszy. W samym końcu cmentarza, tuż pod murem, Mato Jakśić zatrzymał się i wskazał ręką na płytę. Pochylił się nad nią wszyscy trzej prawie jednocześnie. Z wysokiego cyprysu spadły nam za kolanierz kropie deszczu, lecz żaden z nas zdawał się tego nie zauważać. Płyta z szarego kamienia zachowywała się dobrze, zresztą położono ją niedawno, o czym świadczy data. Dziwnie: rodacy z zagranicy postawili nagrobek rodakowi zmarłemu za granicą. Wyjąłem notes i zapisałem w nim treść nagrobku, wyrwał w dwu językach, serbochorwackim i polskim:

„Ludomir Michał Rogowski, kompozytor, urodzony 3.X.1881 w Lublinie, zmarł 13.III.1954 r. w ukończonym Dubrowniku. Drogiemu Przyjacielowi w dowód pamięci grobowiec ufundowali Zofia i Janisław Kamiński. Toronto, Kanada”.

Nie wiem, co myśli Mato Jakśić i mój współtowarzysz podróży. Mnie snuły się po głowie jakieś patetyczne sformułowania o śmierci na obczyźnie. Na wszystkich cmentarzach świata spoczywają Polacy. Jedni znaleźli się z dala od kraju z własnej nieprzymuszonej woli, inni, dlatego, że zagnana ich tam wojna i tułaczka. Włęcz to jest ten nasz los? Więc stąd bierze się ów słoń i sprawa polska? Po tym odróżniają nas cudzoziemcy, że jak gdzieś długie i szerokie, szliśmy na emigrację, a potem tęskniliśmy za krajem i o niczym innym nie potrafiliśmy mówić. Któżby przypuszczał, że i tu, w Dubrowniku, dopadnie nas ta „sprawa polska” w ostatnim dniu naszego pobytu, chyba tylko po to, żeby ją unieść z sobą i już nie móc się od niej oderwać.

Mato Jakśić znał Rogowskiego dobrze. W domu pokazywał nam wspólne fotografie. Ludomir Rogowski, który w 1927 roku zamieszkał tutaj w opuszczonym klasztorze benedyktyńskim za miastem, nad samym morzem, był mały i niepokajny, ubierał się byle jak i zupełnie nie dbał o tak zwane dobra doczesne. Włócił życie człowieka samotnego, swoją pustelnię klasztorną opuszczał rzadko i niechętnie spotykał się z ludźmi. Godzinami mógł siedzieć nad morzem, wpatrywać się w siną mgiełkę nad horyzontem, mrużyć oczy do słońca i słuchać skwiru mew, nadlatujących z pobliskich wysp na wybrzeże. A gdy miał ochotę na rozmowę, szedł do Mato Jakśića, zaszywali się w jego gabinecie na górze i spędzali tam, w otoczeniu książek, długie godziny.

— Były chwile, że Rogowski umiał być wesoly. Trzymały się go nawet figle. — Mato Jakśić mówiąc to rozześlał się na cały głos. — Kiedyś wsunął mi niepostrzeżenie do kieszeni płaszczka żabę. Gdy sięgnąłem ręką i natknąłem się na coś wilgotnego, obiecał mi strach. A Rogowski nie posiadał się z uciechy. Chichotał jak dziecko, zadowolone z udanego kawału.

Nie starczyło nam czasu, by wysłuchać przed odjazdem oratorium „Cud św. Błażeja”, które Rogowski skomponował na zamówienie ojców miasta. Nigdy nie słyszałem tego utworu, poświęconego patronowi Dubrownika, ba! nie wiedziałem, że coś takiego istnieje.

Gdy samolot, którym wracaliśmy do kraju, poderwał się z lotniska i poszybował w górę, spojrzeliśmy z przyjacielem na miasto i Adriatyk, które, być może, żegnamy na zawsze. Nade wszystko jednak chcieliśmy popatrzeć raz jeszcze na cmentarz, gdzie wśród smukłych cyprysów spoczywa kompozytor polski, Ludomir Michał Rogowski — symbol wiecznego tułacza.

Jan Koprowski

stanym właściwie, symbolizującym to, co nowe.

Przy niewielkim wysiłku Nałęczów może stać się również jednym z najciekawszych i najpiękniejszych obiektów na najważniejszym szlaku turystycznym w kraju. Trzeba odmłodzić Nałęczów i puścić w ruch zegary pałacowe, które zatrzymały się — czy ja wiem? — może w chwili, gdy pod dębem nałęczowskim przesiadywał imię Głowacki, dumając nad losami EMANCYPANTEK.

# NIEZNANY RYSUNEK

bramy miejskiej w Szczepieszynie

HENRYK GAWARECKI

wacji bramy, wynikają z jego opisu — czytamy bowiem w tytule: *Rysunek Bramy Murowanej w Szczepieszynie od strony młyna*. Ma to bardzo ważne znaczenie, gdyż pozwala na lokalizację budowli na terenie miasta.

Na planie miasta Szczepieszyna z 1823 r., znajdującym się w zbiorach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie<sup>1</sup>, w obwodzie dawnych wałów miejskich, czytelnym jeszcze w konfiguracji terenu i układzie ulic, pokazana jest tylko jedna brama miejska, leżąca w południowo-zachodniej części miasta, za obszarnym zespołem zabudowań pofranciszkańskich. Brama — oznaczona numerem 401 — leży na zamknięciu drogi prowadzącej ze Szczepieszyna do Turzyna, obok młyna na Wieprzu. Brama ta nosiła niegdyś nazwę *zamkowej*, jak to przekonać się można z dawnych inwentarzy miasta<sup>2</sup>.

Brama Zamkowa, pokazana na rysunku od południa, od zewnątrz miasta, w widoku frontowym, inwentaryzowana była w okresie, gdy popadła już w dewastację; brak jej szczytu i dachu, głęboko rozjeżdżona droga obniżyła się w szyi bramy bardzo znacznie.

Dla ustalenia jej pełnego pierwotnego wyglądu szczególnie dotkliwy jest brak szczytu, gdyż zapewne był dekorowany i wraz ze ścianą frontową bramy tworzył architektoniczną całość o jednolitym charakterze stylowym.

Jednak nawet schematyczny rysunek elewacji posiada określone cechy stylowe, pozwalające na wyciągnięcie wniosków co do okresu powstania budowli. Pełne belkowanie wsparte na parach pilastrów, spoczywających na cokółkach, oraz charakterystyczne półkoliste wnęki i płyciny między pilastrami, nawiązują do form architektonicznych stosowanych w pierwszej ćwierci XVII wieku, w Zamościu i Szczepieszynie. W Ratuszu w Zamościu,



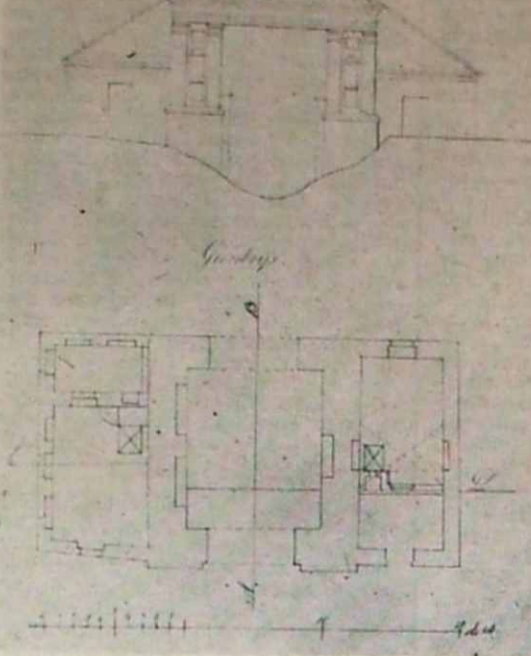
Ratusz w Zamościu, fragment elewacji frontowej — podziały architektoniczne I piętra

przekształcanym po 1622 roku, występują podziały architektoniczne identyczne z pokazanymi na rysunku bramy. Wieża kościoła parafialnego w Szczepieszynie wykańczana za czasów proboszcza Star-nigeja, tj. około 1630 r.<sup>3</sup>, również posiada podobną artykulację architektoniczną. Pozwala to na wysunięcie wniosku, że brama zamkowa w Szczepieszynie wystawiona była w okresie rozwoju tzw. renesansu lubelskiego, tj. w pierwszej połowie XVII wieku. Potwierdzeniem byłyby następujące uwagi znajdujące się w inwentarzu Szczepieszyna z 1641 roku: „...trzy domki zniszono dla muru Miejskiego”, „...Zabkowski dom zniszono dla murów...”. Schematyczność rysunku bramy nie pozwala oczywiście na dalej idące wnioski odnośnie budowniczego obiektu. Można by tu wysunąć przypuszczenia, że zatrudniony przy fortyfikowaniu Szczepieszyna byłby pracujący w służbie Tomasza Zamojskiego — Andrzej del Aqua lub też Jan Jaroszewicz, architekt czynny w Zamościu w latach 1620—43<sup>4</sup>, bądź też architekt Jan Wolff, któremu ostatnio przypisywana jest bardzo żywa działalność na terenie ordynacji<sup>5</sup>.

Brama zamkowa istniała do 1831 r. W tym roku bowiem sprzedana została przez administrację Ordynacji Zamojskiej Rychterowi, chirurgowi, na rozbiorke za 200 złp<sup>6</sup>. Rychter otrzymał 18.VIII.1831 r. świadectwo, że „Bramkę” może rozebrać<sup>7</sup>.

## PRZYPISY:

1. WAP Lublin — sygn. O.Z.477a. Plan ten reprodukowany jest w pracy W. Kalinowskiego i St. Trawkowskiego. Uwagi o urbanistyce i architekturze miejskiej Królestwa Kongresowego w pierwszej połowie XIX wieku. W: Studia i materiały do teorii i historii architektury i urbanistyki — I — Warszawa 1956, s. 107, ryc. 35.
2. Inwentarz Wniosków Szczepieszkiej w Roku Pańskim 1641... opisany, Akta Ord. Zam. Nr 47 WAP Lublin. Inwentarz ten tak podaje ówczesny rozkład miasta: Kościół Farny, Brama Murowana od Zamościa, Pierwsza Połać Rynkowa, Mostek zwany Samborka, za nim kamienicą ojców Franciszkanów, Brama przy zamku, Druga część Rynku (od domu zw. Malwaniec), Trzecia część Rynku, Czwarta część Rynku, Ulica Turubińska, Ulica ku Cerkwi, Ulica od Stajni Zamkowej (w niej Cerkiew Ruska i Szpital Żydowski), Ulica Zatylna od Bramy Turubińskiej. (s. 6). Ciekawym szczegółem tego opisu jest lokalizacja dawnego ementaru różnowierzego. Znajdował się on na miejscu dzisiejszego ementaru rzym.-kat., gdzie kaplica św. Leonarda. Jest interesujące, że wczesniejszy inwentarz miasta z 1624 r. wylicza jako mieszkańców Szczepieszyna „...Polaków, Rus, Arianów, Żydów i nieco Lutrow...”.
3. PAN Kraków rka Nr 23721 — Ks. A. Wadowski „Kościół diecezjalny chełmskiej”, s. 483 wizyta z 1630 r., cytując wizytację biskupa Lubelskiego w 1622 r., z której wynika, że kościół konsekrowany w 1620 r. (wystawiony był przez ks. Kłickiego, a jego następcą Star-nigeja wymurował do połowy wieży).
4. St. Herbst, J. Zachwatowicz, Twierdza Zamość, Warszawa 1936, s. 29.
5. Jerzy Kowalezyk, Turubińsko-zamojski murator Jan Wolff oraz jego dzieła na Lubelszczyźnie. W: Biuletyn Historii Sztuki R. 1962, Nr 1, s. 123.
6. WAP Lublin, Akta Ord. Zam., Akta m. Szczepieszyna Nr 89, vol. 1, s. 2.
7. tamże.



Rysunek Bramy Zamkowej w Szczepieszynie

W ŚRÓD miast województwa lubelskiego jedno z najpocześniejszych miejsc pod względem wartości urbanistycznych i architektonicznych zajmuje Zamość. Sławę jego ugruntowały liczne studia naukowe i popularyzatorskie. W „cieniu” Zamościa pozostały tak ciekawe ośrodki miejskie, jak np. Tomaszów, Szczepieszyn czy Turubin, warte bliższego zainteresowania się, choćby ze względu na związek z Zamościem i wspólną przynależność do dóbr ordynacji zamojskiej.

Szczepieszyn, leżący najbliżej Zamościa i w pobliżu letnich rezydencji Zamojskich — początkowo Zwierzynca, potem Klemensowa — był na tym terenie miastem najstarszym. Jako miasto występuje już w 1353 r., a Ludwik Węgierski podarował go z całym powiatem Dymitrowi z Goraja, Marszałkowi Wielkiemu Koronnemu. Miasto zmieniało często właścicieli, należało kolejno do Gorajskich, Tarnowskich, Kmitów i Górków. Droga kupna Szczepieszyn w 1595 r. przeszedł na własność hetmana Jana Zamojskiego i następnie włączony został do ordynacji.

Na początku XVII wieku Szczepieszyn, umocniony i rozbudowany, stał się miastem renesansowym, otrzymując formy stylowe odpowiadające współczesnej architekturze Zamościa. W tym okresie miasto otoczono murami i bramami obronnymi, wystawiono kościoły — parafialny i klasztorny, wybudowano bóżnicę i szereg kamienic.

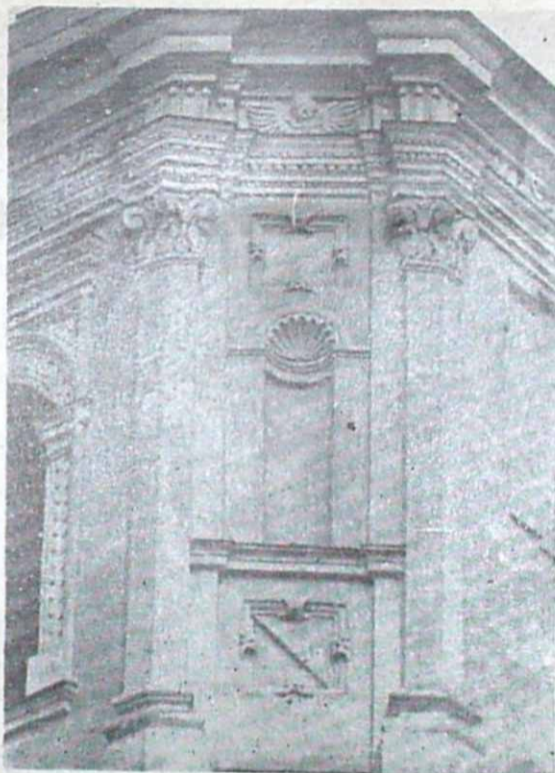
Najmniej śladów pozostało do dziś po murach i bramach miejskich, które jako już niepotrzebne rozebrano na początku XIX wieku. Nie zachowały się żadne przekazy ikonograficzne, które by mogły powiedzieć o ich walorach architektonicznych.

W tej sytuacji, każdy nawet skromny rysunek stanowi wartość dokumentu.

W Bibliotece Zamojskich w Klemensowie, w czasie jej porządkowania, wśród luźnych nie zinwentaryzowanych papierów, znalazła się pojedyncza karta z rysunkiem przedstawiającym jedną z bram miejskich w Szczepieszynie.

Rysunek wykonany jest na karcie czerpanego żebarkowego papieru, o wymiarach 35,2 x 22,7 cm, ze znakiem wodnym i początkowymi dwoma cyframi daty 18... (karta jest z dwóch boków obcięta). Szkic wykreślony jest atramentem, dziś już nieco wyblakłym.

Rysunek powstał zapewne w 1827 r., jak na to wskazuje data dopisana zresztą inną ręką i odmiennym atramentem. Bliższe określenie położenia ele-



Kościół parafialny w Szczepieszynie, fragment wieży frontowej — podziały architektoniczne najwyższych kondygnacji

## MAJDANEK W LITERATURZE POLSKIEJ

(Dokończenie ze str. 7)

sach terroru, pod groźbą rewizji, aresztowania czy śmierci. Wielkie zaangażowanie emocjonalne autora, brak jakichkolwiek wzorów z zakresu tego typu powieści gwarantuje jej pionierstwo.

Osobny dział w literaturze o Majdanku zajmują pamiętniki i wspomnienia więźniów, którzy w zbeletryzowanej formie dzielą się przeżyciami obozowymi. Nie są to jednak dzienniki, gdyż zaprzeczają temu formę podawczą. Autorzy stosowali świadomą selekcję materiału, porządkowali go według ważności problemów w znaczeniu historycznym i osobistym.

Dokumentem zbeletryzowanym w udany sposób jest „Więzień nr 3873” Tadeusza Garczyńskiego, jedna z pierwszych pozycji o charakterze wspomnieniowym. Ujmuje on całokształt wędrówki obozowej autora od Pawiaka, przez Majdank,

Gross-Rosen aż do Litomierzyc. Najwięcej miejsca we wspomnieniach Garczyńskiego zajął Majdank — autor przeżywał tu najdłużej, stąd większa ilość zagadnień i możliwości wysnuwania wniosków, a także problematyzowania.

Garczyński pełnił funkcję pisarza blokowego, miał możliwości krącenia wśród więźniów, poznania ich opinii o Majdanku, a także dostęp do dokumentacji i prawo przebywania wśród starszego obozowej — stąd bogactwo materiału w jego wspomnieniach. Nowym w literaturze o Majdanku jest podjęcie przez autora próby obiektywnej oceny Niemców, język jakim operuje autor w „Więźniu nr 3873” jest poprawny, oszczędny, z tendencją do uogólnień, natomiast liryzm pojawia się na kartach wspomnień rzadko i to wtedy, gdy do obozowej rzeczywistości przenikają reminiscencje z wolności.

W przeciwieństwie do stylu, jaki reprezentuje powieść Garczyńskiego, praca Józefa Korcza pt. „Na Majdanku” daje rozległe, drobniagowe wspomnienia, uwarunkowane brakiem dystansu czasowego do przeżyć (autor pod pracą notuje datę powstania wspomnień — lipiec 1945). Korcz w odróżnieniu od Garczyńskiego unika też wprowadzania fikcji przy podawaniu nazwisk nieludzkich blokowych, rzeczy

i ludzi nazywa po imieniu, z odpowiednio złośliwym komentarzem. Miarą oceny człowieka — bez względu na narodowość — są dla autora uczynki. Jedną z cenniejszych zdobyczy Korcza, poza rejestracją wydarzeń w obozie, jest opinia autora o języku więźniów majdankowskich, pozwalająca na ustalenie pochodzenia pewnych terminów czy zwrotów. „Czerwone punkty” — to tytuł wspomnień o Majdanku Tadeusza Czajki, a zarazem specjalne określenie więźniów szczególnie niebezpiecznych dla III Rzeszy. Autor skrupulatnie odnotowuje wrażenia, jakie czynią na nim po raz pierwszy napotkani ludzie w pasiakach. Ludzie-automaty, bez prawa do marzeń o wolności, ograniczeni otaczającą ich rzeczywistością, szukają silnych przyjaźni. Wielkie zaangażowanie uczuciowe autora w opisywane sprawy czyni wrażenie na czytelniku, kształtuje jego stosunek do zbrodniarzy. Ostatnie rozdziały „Czerwonych punktów” technicznie rozdział „Czerwonymi, wiarą w zwycięstwo prawdy i człowieka, dla którego świat nie może kończyć się za drutami obozu. Autor na przykładzie własnym i kolegów dowodzi, że bierne przyglądanie się złu i godzenie na nie nie przynosi wolności. Drobiazgo-

we oddanie przeżyć uciekających kanałami ściekowymi, trudności, z jakimi się spotykali, momenty załamania i wytrwałości, przekazują nam wielką prawdę z tamtych czasów o ludziach, którzy nie zrezygnowali z prawa do życia.

Ślubsze pod względem artystycznym od „Czerwonych punktów”, ale cenne jako dokument, są wspomnienia Marcjina Gryty pt. „Byłem numerem”. Książka ta uzyskała drugą nagrodę „Polityki” za rok 1962 w dziale pamiętników. Odnacza się ona bogactwem realiów majdankowskich, na podkreślenie zasługuje też fenomenalna pamięć faktów, nazwisk i emocjonalne zaangażowanie autora w opisywane sprawy. „Byłem numerem” jest książką prostego robotnika, w której ludzie obozowi i ich sprawy zostali ocenieni obiektywnie. Prawy charakter narracji, jego zwycięstwo odniesione w walce o życie, podnieca i daje siłę do wychowawczych i decydujących o optymistycznej wymowie wspomnień i ich trwałości. Nie ulega wątpliwości, że książka Marcjina Gryty nie jest ostatnią, zamkniętą szereg pozycji poświęconych Majdankowi. Literatura tego typu przeżywa obecnie swój „złoty wiek”.

Elżbieta Rosiak

# WYZNANIA NIESCHEMATYCZNE

ZYGMUNT MAŃKOWSKI



Waclaw Gralowski



Zbigniew Jakubik

## OGNISTE KOŁA

TADEUSZ KŁAK

NIECH mi czytelnik daruje, że zacznę od osobistego wspomnienia. Kiedy jeszcze czasy lubelskiego dwudziestolecia były dla mnie ziemią nie znaną i nie odkrytą, umówiłem się — student drugiego czy trzeciego roku polonistyki — w „Regionalnej” z Waclawem Gralowskim, aby z pierwszej ręki uzyskać świadectwo o tamtych legendarnych niemal latach, o czasach „Lucifera” i „Reflektora”. Z pilnością wzorowego studenta robiłem w czasie rozmowy notatki i mam je do tej pory, sasiadujące obok nie spalonych jeszcze juweniliów. Rozmowa ta i notatki były przez lata jedynym moim źródłem wiedzy o Czecho-wiczu, „Reflektorze” i związanych z nim sprawach. Przypominam sobie także ówczesną myśl o konieczności zapisania tych wszystkich interesujących rzeczy. Przecież byłaby to bardzo ciekawa książka.

I otóż ją mamy. „Ogniste koła” \*) Waclawa Gralowskiego obracają się wokół tych spraw, co Konrada Bielskiego „Most nad czasem”. Ale to jedyne podobieństwo obydwu książek. Książka Bielskiego rządzią prawa pamiętnikarskiej relacji, u Gralowskiego natomiast materiał wspomnieniowy poddany został prawom konstrukcji artystycznej, stanowi jedynie pisarskie tworzywo. Czytelnika — pisze sam autor w posłowie — może mocno sugerować autentyczność nazwisk i przytoczonych faktów, które mają charakter wspomnień. Ale to tylko pozór. Autentyzm był w tym wypadku tylko fundamentem, na którym konstrukcja literacka się wspierała. Nie można kwestionować i podważać prawa autora do wykorzystywania zasobów swej pamięci i wyobraźni w myśl takich właśnie założeń. Założeń tych nie przyjmuję jednak autor bezkarnie. W zamierzeniu jego opowiadania te są czystą literaturą, automatycznie jednak tracą wator dokumentu, nie mogą pretendować do wiarygodności wspomnienia.

Gralowski stara się w życiu wybranych rzeczywistych postaci dostrzec niezwykły jego przebieg, niezwykłą zakończenie; przy tym pragnie każdą taką opowieścią biograficzną „ilustrować” jakiś problem. W tropieniu niezwykłości zdarzeń i niezwykłej sensacyjności sytuacji objawia się w autorze nie tylko dawna żyłka urodzonego dziennikarza, ale i wrażliwość pisarska, która pozwala mu w otaczającej rzeczywistości dostrzec prawdziwie artystyczną opowieść o tajemniczym, niezwykłym, a często dramatycznym losie człowieka. Potwierdza to i wiersza językowa „Ogniste koła”. Łatwo dostrzec, że do ulubionych słów książki należy awantura, prawdziwe słowo-klucz. I to nie tylko w obiegowym, zwulgaryzowanym pojęciu, ale w znaczeniu przygody (*l'aventure*). W kierunku niezwykłości i tajemniczości, właśnie ku *l'aventure*, prowadzą też tytuły rozdziałów. Proszę: „Dytyramb szatański”, „Mefistofeles we fraku”, „Wapory i zmyry”, „Wataha atamana Lobodi”, „Wydawca i hypnotyzer”. Dobór ich mówi sam za siebie. A przy tym, niezależnie od artystycznego ujęcia, sami bohaterowie są niezwykle ciekawi: rodzina Arnsztajnow, Broniewski, Grędziński, Lobodowski, Zbikowski — to niepełna lista całej ga-

ZBIGNIEW Jakubik ma znakomitą pasję. Po ukazaniu się jego książki \*) „sypnęły się” świetne recenzje, jakie rzadko otrzymuje regionalny, debiutujący pisarz. Już dzisiaj wiadomo, że jest to jedna z najlepszych książek, jaką napisano i wydano w Lublinie po wojnie.

Sam autor jest w Lublinie postacią znaną. Przed laty dał się poznać jako zdolny felietonista, publicysta i recenzent filmowy. Jest także cierpliwym i wytrawnym koneserem życia kulturalnego. Bywał stale w „Norze” lub Klubie Książki i Prasy, wiecznie podniecony, chętnie wchodzący w kontrowersyjne dyskusje literackie, zawsze oryginalny w poglądach lecz nieśsty, co jest prawie zjawiskiem równoległym, mało zrównoważony pod względem nerwowym. W tym jego braku równowagi jest wiele z przeżyć okupacyjnych, ale chyba jeszcze więcej ze zmagania się z samym sobą, z dążności do wypracowania własnej, głębokiej wizji świata, borykania się z warsztatem pisarskim, zmagania się z twardego tworzywem słownym — a więc tym wszystkim, co stanowi sine qua non literackiej osobowości. Bez obsesji nie ma literatury. Cena to wysoka, lecz niezbędna. Jakubik zapłacił szczególnie dużo. W okresie powstawania książki stał się odludkiem i samotnikiem. Przesłał się parą dziennikarską i publicystką, przestał być w klubach i prowadzić ulubione spory. W dodatku, co było powszechną tajemnicą, wegetował w niesłychanie ciężkich warunkach — bez własnego mieszkania i stałych zarobków. Książka, którą pisał, stała się jakby jego ostatnią szansą — poświęcił jej całą swą pasję twórczą, energię i rzecz charakterystyczną — nieograniczony czas. Zadnego pośpiechu. Wolno i starannie cyzelował styl (jeszcze robił to w drugiej korekcie, za co drukarnia chciała obciążyć go dodatkową opłatą), szukał odpowiedniej kompozycji (w wersji pierwszej fragmenty wspomnień rozdzieliał historycznymi komentarzami), w ciągu długich wyjazdów w teren sprawdzał realia, szukał ulotnych klimatów środowiska i pleneru. Wiemy

leż. Mnie jednak najwięcej satysfakcji dostarczyły fragmenty poświęcone Franciszce Arnsztajnowej i Stanisławowi Grędzińskiemu. Są najbardziej skończone, sięga w nich autor najgłębiej w ich psychikę i osobowość, a przy tym wnikliwie łączy ich twórczość z ich biografią. Wiele uwag i spostrzeżeń dotyczących twórczości obojga poetów jest naprawdę cennych i trafiających w sedno rzeczy (kompleksy maskuliniczne u Arnsztajnowej i kompleks pająca u Grędzińskiego). Z innego powodu interesujący okazał się rozdział o Józefie Lobodowskim i jego otoczeniu. Materiał, jaki autor tutaj przedstawił, nie przysparza autorowi „Rozmowy z ojczyzną” sympatii. Całkiem przeciwnie.

Powiedziało się, że opowiadania Gralowskiego nie mają wartości dokumentu, nie należałoby ich więc legitymować z dokładnością. Kiedy jednak mylnie lub nieściśle wspominają o sprawach sprawdzalnych — trzeba. Pare więc z tego tytułu uwag. Wspominając (s. 9) o przekładach Arnsztajnowej powiada autor, że są one anonimowe, trudne do odnalezienia i rozpoznania. Nie całkiem słusznie. Sporo jej tłumaczeń wylicza F. Araszkiwicz w pracy „Ruch literacki w Lubelszczyźnie”, umieszczonej w „Antologii” ks. L. Zalewskiego. Tytuł wiersza K. Bielskiego (s. 51) brzmi „Oda do wina”, a nie „Oda do alkoholu”. Pod takim przy najmniej tytułem był drukowany w „Barykadach”. Różnica lat (s. 88) między autorem a S. Grędzińskim wynosiła nie prawie dziesięć, ale dokładnie pięć, nie było więc tak dużego dystansu, o jakim autor mówi. Władysław Podstawka (s. 166) nie należał do mieszkańców drugiego wspólnego pokoju, co w innych relacjach łatwo sprawdzić. Nie wspominał, rzecz jasna, nie mam do tego żadnych uprawnień, o możliwościach konfrontacji „Ognistych kół” z rzeczywistością. Dla mnie są one po prostu dobrą literaturą.

W całej książce wielka postać Józefa Czechowicza stoi na planie dalszym, pojawia się epizodycznie. Wolno sądzić, że stanie się ona przedmiotem książki osobnej.

\*) Waclaw Gralowski: „Ogniste koła”. Lublin 1963. Wydawnictwo Lubelskie.

dziś, że wszystko to nie bez wyników. Książka jego stała się przez to sugestowniejsza, pełna rytmu i specyficznego klimatu a styl jej stał się lapidarny, czysty i syntetyczny.

Nielatwo określić rodzaj jego książki. Na obwołanie redakcją określiła ją niezbyt precyzyjnie jako „literackie wspomnienia”. Jakubikowi natomiast chodziło raczej o własną psychoanalizę. „Wiernie — pisze on w posłowie — zanotowałem więc nie tylko to, co narrator — bohater „Czapek na bakier” słyszał, widział, robił i przeżywał w czasie okupacji, lecz również, w jaki sposób przeżywał okupacyjną rzeczywistość i jak na ową rzeczywistość reagował”. Mamy więc do czynienia z dziełem złożonym. Rozpoczyna się ono w Istocie tam, gdzie kończą się sensu strictly wspomnienia. Autorowi chodzi bowiem bardziej o „psychologiczną prawdę” niż o odnotowanie jak największej ilości faktów i nazwisk. To, co wreszcie zasadniczo odróżnia jego książkę od pamiętnika, to jej wyszukany, precyzyjny styl literacki. W tym sensie bliższa ona twórczości Rudnickiego niż np. „Dziennika” Zygmunta Klukowskiego.

Jakubik „uderzył” swoją książką w punkty newralgiczne okupacyjnej tradycji. Decydująca większość literatury dotyczącej okupacyjnej rzeczywistości (pamiętnikarskiej i niepamiętnikarskiej) skupiła swoją uwagę przede wszystkim na bohaterach typu heroicznego, na indywidualnościach, które aktywnie z różnym skutkiem borykały się z drastycznymi sytuacjami. Tymczasem wyznania Jakubika ukazują postać mniej efektowną, słabszą psychicznie i fizycznie, bardziej przez to typową, bardziej ludzką, a jeśli by można zastosować współcześnie modną terminologię — „nieprzystosowaną”. Nie ma co ukrywać, że postawa taka była charakterystyczna dla większości ludzi. Bohaterowie nie rodzą się na kamieniu. Ani Jakubik, ani większość z jego współtowarzyszy takich predestynacji ani cech nie posiadali. Dlatego właśnie wspomnienia Jakubika są pracą odkrywczą, a sylwetka jej bohatera bardziej typową i symptomatyczną. Spełnia on walor typowości i powszechności. Jakubik dał wiwisekcję (obraz) człowieka walczącego rozpaczliwie o „przystosowanie się”, o przetrwanie okrutnych czasów i warunków. Ich bohater nie jest jednostką aktywną lub ekspansywną. Usiłuje wbrew sytuacji i warunkom zamknąć się w sobie, stara się patrzeć na nie jak na nieciekawą, wolno wlokącą się film. Przytłoczony wydarzeniami przekraczającymi jego doświadczenie, wyobraźnię i zdolności do absorpcji, stara się instynktownie jak najmniej angażować swój system nerwowy, jak najmniej odczuwać. Wypracowuje sobie więc w poczuciu absolutnej bezsilności „chłodny” i „obojętny” stosunek do zagłady józefowskich Żydów, przejawów kolaboracji miejscowej „arystokracji”, swego nędznego bytowania itp. Jest już rzeczą logiki historycznej, że utrzymanie tej postawy bohaterowi na dłuższy czas się nie udaje. Zostaje on wtrącony bezwiednie w działanie jeszcze bardziej obce jego charakterowi i możliwościom fizycznym (niedomaganie serca) — wiąże się bowiem z ruchem oporu, a ściślej mówiąc z partyzantką. I tutaj wspomnienia Jakubika stają się jeszcze bardziej pasjonujące. Cała leśna rzeczywistość staje się dla niego jakby koszmarnym snem. Jej egzotyka wykracza poza wyobraźnię i możliwości przystosowania się. Rozpoczyna się nowy, trudniejszy etap walki o biologiczne przetrwanie. Zgrupowanie partyzanckie wpada wraz z bohaterem w otoczenie. Brnie przez leśne „mateczniki”, topi się w bagnie, słyszy nieustannie zaciskający się chrzęst stalowej petli wroga, pozbawiony zostaje możliwości realizowania jakichkolwiek założeń taktycznych. Do bohatera jak do somnambulika docierają jedynie strzepy tych wydarzeń. Wyczerpany do ostatnich granic fizycznie i psychicznie zostaje ciężko ranny i po krótkich próbach „samoocealenia”, staje się już tylko obiektem niezależnego od niego samego ciągu wydarzeń. Sprawa jego ocalenia „jest już teraz tylko sprawą szczęśliwych wypadków.

Otrzymałszy w ten sposób niezwykle przekonywającą i sugestyną analizę przeżyć „szarego”, „powszechnego” i nieefektywnego bohatera lat okupacji. Nie trzeba dodawać, że książka Jakubika jest więc odkrywczą i oryginalną w polskiej okupacyjnej literaturze. Jest książką potrzebną.

Nie jest rzeczą blagą, że „akacja” „Czapek na bakier” toczy się w regio-

nie szczególnie przytłoczonym wojną tj. w Zamojszczyźnie. Wypadki, które miały tam miejsce, mają już rozległą literaturę historyczną i są w dalszym ciągu obiektem zainteresowania historyków. Wspomnienia Jakubika są nowym do niej przyczynkiem. Jego zapis jest wiernym odbiciem rzeczywistości okupacyjnej. Jest odbiciem uczciwym. W posłowie pisze on, że nie mógł się zgodzić „by dwudziestokiluletni bohater mych wspomnień — Marek — pasyżytował na powojennej wiedzy i powojennych doświadczeniach czterdziestokiluletniego Jakubika”. Autorowi udało się poza małymi wyjątkami utrzymać się w tym założeniu. Przez to wprawdzie ilość utrwalaonych w pracy faktów zmniejszyła się, lecz ich wiarygodność wzrosła. Opisał on faktycznie to, co widział, i to właśnie każe nam dzisiaj traktować jego zapis jako „relację uczestnika” posiadającą wartość historyczną. Jest więc autor świadkiem zagłady józefowskich Żydów, uczestnikiem tzw. powstania zamojskiego i wreszcie wnosi sporo szczegółów i realiów do największej w Polsce bitwy partyzanckiej, stoczonej w czerwcu 1944 roku na terenie lasów bilgorajskich i Puszczy Solskiej. Interesująco kreśli sylwetki dowódców akowskiego zgrupowania „Kalinę”, „Adama”, „Miecha”, „Wira”, ukazuje ich indolencję w decydujących chwilach bitwy pod Osuchami, krytycznie ocenia ich stosunek do znajdujących się w kotle partyzantów radzieckich. W końcowych partiach książki znajdujemy przyczynek do dziełowej szczybrzeszyskiego szpitala i pomocy, jakiej udzielał on rannym partyzantom. I w tej mierze książka jest potrzebna i wartościowa.

Chciałbym jeszcze kilka słów pochwalić poświęcić jego stylowi. Jego książka napisana została piękną polszczyzną, wzbogaconą szeregiem terminów prowincjonalnych lub rzadko używanych. Jakubik ma cenną zdolność eliminowania nadmiaru słów, zdania buduje pełne wewnętrzny rytm, a niektóre partie jego wspomnień posiadają strukturę noweli kończącej się zaskakującą pointą (np. fragment o losach Żydów). Potrafi on posługując się syntetycznym językiem opisać jakże złożone stany psychiczne lub sugestynie szkieletować, niepowtarzalny urok bilgorajskiego pejzażu. Wszystko to świadczy, że posiada on znakomicie opanowany warsztat literacki, zdolność wewnętrzny skupienia, umiejętność sugestynnego, przekazywania czytelnikowi własnej wizji.

Jest rzeczą ogromnie ciekawą czy Jakubik potrafił te umiejętności wykorzystać tym razem w pracy czysto literackiej, a więc takiej, gdzie fabuła będzie dziełem jego wyobraźni. Z praktyki wiemy, że nie jest to regułą. Nowej książki Jakubika oczekiwać będziemy z wielką niecierpliwością. Wszystkó bowiem wskazuję na to, że jest on już dzisiaj dojrzałym pisarzem.

\*) Zbigniew Jakubik: „Czapek na bakier”. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1963, s. 183, cena 15 zł.

## TURNIEJ POETYCKI

ZSP Klub Studentów Wybrzeża „Zak” w Gdańsku i KW ZMS w Gdańsku ogłaszają IV Ogólnopolski Turniej Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę „CZERWONEJ RÓŻY” — na zestaw trzech niepublikowanych wierszy. Każdy uczestnik ma prawo nadesłać dowolną ilość zestawów.

Prace należy nadsyłać pod godłem. Adres: Rada Naczelna ZSP Komisja Kultury „Turniej Czerwonej Róży” — Warszawa, ul. Ordynacka 5.

Turniej ma charakter otwarty. Termin nadsyłania prac upływa w dniu 15 października 1963 roku (decyduje data stempla pocztowego).

Jury przyzna trzy nagrody w wysokości: 3000 zł, 2500 zł, 2000 zł.

# STRUKTURA ORGANIZACYJNA O B O Z U

(Dokończenie na str. 7)

Powołany w listopadzie 1941 r. na stanowisko komendanta obozu lubelskiego, SS-Standortsführer Karl Otto Koch, dotychczasowy komendant Buchenwaldu, zreorganizował zarząd dostosowując go do ogólnej struktury obozów koncentracyjnych. Wiązało się to z podporządkowaniem Majdanka Inspektoratowi Obozów Koncentracyjnych w Oranienburgu. Jednocześnie został on związany z dwoma centralnymi SS-owskimi instytucjami: Głównym Urzędem Gospodarczo-Administracyjnym (WVHA — finansowanie budowy obozu, grabież mienia więźniarskiego, organizacja przedsiębiorstw SS-owskich) oraz Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA — dyrektywy w odniesieniu do eksterminacji poszczególnych kategorii oraz grup narodowościowych więźniów). Mimo wtłoczenia obozu lubelskiego w ogólny system obozów koncentracyjnych, wyróżniały go spośród innych tego rodzaju placówek, nazwa: „Kriegsgefangenenlager — Lublin oraz „opieka”, jaką otaczał go dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim. Globocnik, według Rudolfa Hoessa, lubelski oboz koncentracyjny uważał zgodnie ze swoimi obyczajami za „swoją” obóz. Wydawał komendantom rozkazy i zarządzenia całkowicie sprzeczne z instrukcjami inspektora obozów koncentracyjnych. Wynikały z tego nieustanne zatargi. Globocnik potrafił jednak zawsze przekonać Reischführera SS, wskazując na szczególną sytuację w Lublinie\*\*.

Ustalona przez Kocha organizacja wewnętrzna obozu objęła sześć podstawowych oddziałów (Abteilungen), które w miarę jego rozwoju były ciągle rozbudowywane. Ostatecznie na przełomie lat 1942/1943 ukształtował się następujący schemat organizacyjny: Oddział I — komendantura (Kommandantur), Oddział Ia — adiutantura (Adjutantur), Oddział II — polityczny (Politische Abteilung), Oddział III — obóz ochrony (Schutzhaftlager), Oddział IIIa — służba pracy (Arbeitseinsatz), Oddział IV — administracja (Verwaltung), Oddział V — lekarz obozowy (Standortarzt), Oddział VI — załoga wartownicza (Truppenbetreuung).

Oddział I — było to biuro komendanta obozu (Lagerkommandant). Zadaniem tego biura było wiązać orga-

nizacyjnie całość obozu przez dostarczanie komendantowi stale aktualnych informacji o stanie obozu, o tym, co dzieje się w obozie. Jednocześnie biuro to było obowiązane rozsyłać wszelkie zarządzenia i rozkazy komendanta do adresowanych oddziałów.

Stanowiska komentantów na Majdanku kolejno zajmowali: SS-Standortsführer Karl Otto Koch (listopad 1941 — sierpień 1942), SS-Obersturmbannführer Koegel (sierpień 1942 — wrzesień 1942), SS-Sturmbannführer Herman Florstedt (wrzesień 1942 — listopad 1943), SS-Obersturmbannführer Martin Weiss (listopad 1943 — maj 1944), SS-Obersturmbannführer Artur Liebehenschel (maj 1944 — 22 lipca 1944).

Pomoceńnikiem komendanta, a jednocześnie jego osobą najbardziej zaufaną, był adiutant. On to czuwał nad korespondencją komendantury, referował komendantowi wszelkie sprawy personalne SS-owców (awanse i kary), jemu podlegał całokształt spraw łączności (Abteilungen Vermittlung, Poststelle, Funkstelle) oraz park samochodowy (Abteilung Fahrbereitschaft).

Ostatnie cztery pododdziały w 1943 r. wyodrębniły się, zachowując jak gdyby charakter autonomiczny.

Oddział polityczny, którego kierownictwo przez cały okres istnienia obozu na Majdanku spoczywało w ręku SS-Hauptscharführera Otto Klopman, zajmował się sprawami personalnymi więźniów. Do oddziału II wpływały zawiadomienia o mających nadejść do obozu transportach więźniarskich oraz imienne listy transportowe. Jak w każdym obozie, tak i na Majdanku, oddział polityczny prowadził szczegółową kartotekę personalną każdego więźnia. Zawierała ona wszelkie dane od nakazu aresztowania poprzez adnotacje o postępowaniu więźnia w obozie, przeniesieniach, aż do ewentualnego wyroku śmierci. Wędrowała ona zawsze w wypadku przeniesienia więźnia z obozu do obozu.

Oddział II decydował o narodowości danego więźnia oraz jego kategorii. W tym względzie panowała całkowita dowolność. Tak np. Polaków pochodzących z terenów wschodnich określano jako obywateli ZSRR, natomiast wszystkim Polakom z GG i tzw. terenów wcielonych do Rzeszy nadawano czerwony trójkąt — więźnia politycznego.

Zadaniem tej jednostki było również prowadzenie w obozie służby wywiadowczej. Tu prowadzono śledztwa dotyczące więźniów i decydowano w sprawie wykonania egzekucji na osobach więźniów. Stąd wychodziły do rodzin zawiadomienia o śmierci osadzonych w obozie więźniów.

Oddział polityczny, mimo szczególnych zadań, na Majdanku nie miał decydującego wpływu na życie więźniów. Stan ten uznawany jest jako specyficzny dla stosunków w obozie lubelskim, z uwagi na aktywną działalność kierownika oddziału III — osławionego kata Gross-Rosen, później Majdanka, SS-Obersturmführera Antona Thumanna.

Thumann — jako Schutzhaftlagerführer będący rzeczywistym zastępcą komendanta, wykorzystując, jak się wydaje, zmiany komendantów, stał się faktycznym kierownikiem obozu. Oddział, który on reprezentował, był w istocie jednostką organizacyjną. Stąd pochodziły inspiracje co do postępowania z więźniami, tu wymyślano cały system sztyku. Od kierownictwa oddziału III zależały warunki bytowe więźniów, w szczególności wyżywienie i prace. Do komendanta tego oddziału należało bezpośrednio wykonywanie egzekucji oraz kar dyscyplinarnych. Ponoślił on również odpowiedzialność za system strzeżenia i politycznego zabezpieczenia obozu przed uciezkami.

Dla właściwego wykonania zadań z oddziałem III związane było organizacyjne biuro kierownictwa robót (Arbeitseinsatz). Do zadań tej jednostki należały sprawy dotyczące pracy więźniów, dostarczanie żądanych komand dla potrzeb poszczególnych oddziałów czy przedsiębiorstw SS. Z kierownictwem robót łączyły się znane funkcje nadawane w obozach więźniom: „Kapo” i „Vorarbeiter”. Kapo stał na czele komanda roboczego, Vorarbeiter pełnił funkcję jego pomoceńnika. Większe liczebne grupy posiadały po kilku Kapo, nie mówiąc już o Vorarbeiternach.

Kierownictwu oddziału III podporządkowana była wewnętrzna organizacja SS tzw. obozu ochronnego oraz zw. samorząd więźniarski. Podstawową komórką w tym względzie na Majdanku było „pole więźniarskie” (Feld). Na czele pola stał Feldführer, odpowiedzialny za stan i bezpieczeństwo pola. Jemu to podlegała kancelaria pola, w której prowadzono ewidencje więźniów, „Opiekunem” każdego bloku był Blockführer odpowiedzialny za stan baraku. Raportführer jako szef kancelarii obozowej (Lagerschreibstube) odpowiadał za dokładne ustalenie stanów dziennych dostarczanych

przez Feldführerów poszczególnym SS była organizacją funkcji więźniów (Lagerälteste, blokowy, sztabowy, szaryz prowadzący kancelarię blokową, mająca ułatwić wykonanie zadań, jakim służyły obozy koncentracyjne). Kierownictwo oddziału III wysłaniało i mianowało najczęściej na te stanowiska element podatny na pracę z władzami obozowymi, szczególnie niemieckich kryminalistów. Polscy więźniowie polityczni, zdając sobie sprawę z roli wymienionych organizacji w osłabianiu skutecznego systemu obozowego, usilnie dążyli do objęcia różnego rodzaju funkcji. Istotnym się to całkowicie, co w konsekwencji doprowadziło między innymi do złagodzenia terroru i rozwoju oporu.

Oddział IV gospodarczo-administracyjny załatwiał wszelkie sprawy związane z zakwaterowaniem, wyżywieniem, ubraniem i sprawą pieniężną. Tu skupiały się wszystkie funkcje zarządu obozowego dotyczące grabieży mienia więźniów. Kierownikiem oddziału IV, jako doradca komendanta w sprawach gospodarczych, był Anton Ternes.

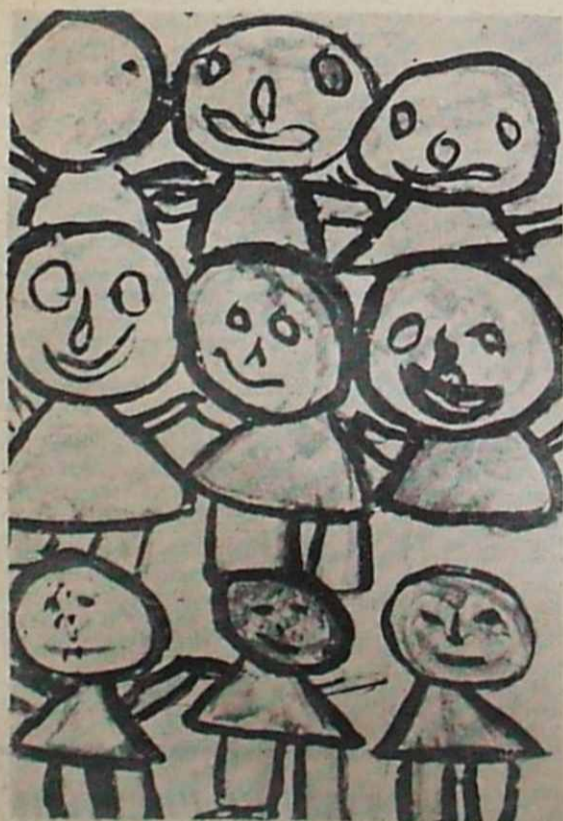
Sprawy sanitarne należały do obowiązków lekarza obozowego (oddział V). Stanowiska lekarzy zajmowali: dr Blanche i dr Rindfleisch.

Załoga obozu, składająca się z SS-owców i formacji pomocniczych, podlegała szefowi oddziału VI. Stanowisko to przez cały okres istnienia obozu na Majdanku zajmował SS-Obersturmführer Langleit.

Niezależnie od omówionych sześciu podstawowych oddziałów w 1943 r. komendantura obozu, prawdopodobnie na zasadzie autonomii, wyodrębniła następujące pododdziały: gospodarstwo obozowe (Lagergut), zarząd ogrodów (Gärtnerel), inżynier obozowy (Leiter der Schutzhundestaffel), szef SS (Gerichts-SS-Führer), krematorium, obóz kobiecy (Oberaufseherin FKL). Z początkiem roku 1944 Majdankowi podporządkowano obozy pracy jako filie: w Warszawie, w Radomiu, Białymostku i w Bliźnie, niezależnie od lubelskich filii przy ul. Lipowej i traszackich odzieżowych na terenie dawnego lotniska Plage-Laśkiewicza. W jakim stosunku filie te pozostawały do poszczególnych oddziałów trudno stwierdzić.

Józef Marszałek

\* Wspomnienia Rudolfa Hoessa — komendanta obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Warszawa 1960, str. 283 — 295.  
\*\* Tamże, str. 262.



Fot. Andrzej Polakowski

Wystawa „Moja ojczyzna” — Lidia Vanderhaeghen, Belgia (5 lat)

## WYSTAWA „MOJA OJCZYZNA”

NIECHĘTNIE opuszczaliśmy wystawę malarstwa i rysunku dzieci Europy pt. „Moja Ojczyzna” — kolorowy świat radości i szczerego uczucia.

Bo właśnie zaskakujące zestawienia barwne (czerwień obok fioleto i zieleni) związane w nierozważalną kompozycyjnie całość stanowią o jednej z cech malarstwa dzieci, podobnie jak wyraźna tendencja w kierunku upraszczania formy, tworzenia często groteskowej syntetycznej dającej w efekcie owe wielkie okrągłe głowy z czarnymi kółkami oczu, rozwartymi w „sztafańskim” uśmiechu ustami i zabawnymi, lecz zawsze zdolnymi zaciekawic „holenderskim” pejzazami miasta, którego kamienice to nie innego jak baśniowe oblicza ludzi zaklętych w stare domostwa.

O ile dzieci najmłodsze posługują się prawie abstrakcyjnie ujętym znakiem rzeczy lub zjawiska, zapinając powierzchownie kreskami i plamami, które ledwo przypominają np. „Portret braciśka”, o tyle w miarę dojrzewania i upływu lat malarstwo to zmienia się i stanowi wykładnik psychicznej ewolucji młodego „badacza”, jest dowodem powiększania zasobu doświadczeń i wiedzy o świecie.

Głębia i świeżość przeżywania świata uwewnętrznia się u najmłodszych twórców w realistycznej postawie wobec otoczenia, którego przedmioty i zjawiska odpowiednio wyolbrzymione stanowią zasadniczą i pierwszą inspirację twórczości. Najczęściej zaś spotykanym motywem kompozycyjnym jest człowiek — mama, tata, braciśzek lub siostra oraz zwierzątko z własnego podwórka i ulicy.

Często stosowana przez dzieci jest kompozycja horyzontalna złożona z równoległych pasów mających sugerować przestrzenność przedstawienia; dopiero dzieci starsze próbują zestawień bardziej skomplikowanych. Dobrym przykładem pierwszego rodzaju kompozycji może być akwarela 5-letniego dziecka belgijskiego w przesabawny sposób realizującego zasadę trzech stref wypełnionych człowieczkami o wielkich głowach i nieproporcjonalnie mniejszych

tulowiach; odmienny typ kompozycji przedstawia kolorowe dziełko 10-letniego Rosjanina.

Sztuki dziecka nie można mierzyć zwykłymi kryteriami, które stosujemy przy ocenie dzieł dorosłych, istnieją wszakże zasady, według których można wyznaczyć miarę w hierarchii wartości artystycznej poszczególnym dziełom dziecięcej twórczości — jest nią stopień najwęższej szerokości i bezpośredniego widzenia zmaterializowany na powierzchni papieru.

I twórczość ta pozostaje sztuką zawsze wtedy, kiedy wraza ową niebanalną, jedyną osobowość dziecka.

Ireneusz Jan Kamiński

## KSIAŻKI NADESLANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT  
WYDAWNICZY

- Simon Czokowani — W cieniu gór, wybrał Leopold Lewin, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.
- Ho-Chi Minh — Dziennik więzienny, przełożyli Maria Kurecka i Witold Wirsza, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.
- Poezje czarnej Afryki — wybrał i przełożył Bronisław Kamiński-Durocher, redagował Jerzy Lisowski, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.
- Lucjan Rudnicki — Stare i Nowe, Warszawa, 1962.
- Kazimierz Koźniowski — Piątka z ulicy Barskiej, Warszawa, 1962.
- William Szekspir, Król Henryk IV, przełożył Roman Brandstaetter, Warszawa, 1962.
- Jurij Gierman — Jeden rok, 2 tomy, przełożyła Witolda Jurkiewicz, Warszawa, 1962.
- Joseph Conrad — Między łądem a mierzem, przełożyli: Jan Lemański, Jerzy Bohdan Rychliński, Aniela Zagórska, Warszawa, 1962.
- Jerzy Szacki — Ojczyzna, Naród, Rewolucja, Warszawa, 1962.
- Korniej Czukowski — Wspomnienia o pisarzach, Warszawa, 1962.